Nr. 8. Poznań, dnia 23-go lutego 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 397. OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Doktorowa Kosmowska.

O zaufaniu dzieci do rodziców.



W szeregu zagadnień psychologiczno - wychowawczych, kwestya uzyskania przez wychowawców wiary w udzielane napomnienia i zdobycia bezwzględnego u dzieci zaufania, jest może najbardziej skomplikowaną.

Uciekanie się do jakichkolwiek nakazów, stawianie najwyżej w słowach autorytetu rodzicielskiego nie rozstrzyga sprawy. Pedagogowie dla określenia właściwej istoty rzeczy nie znajdą naukowej formuły — przyczyny zaufania lub jego braku nie można wyrozumować, tkwi ona głęboko w psychice dziecka, w złożonem w jego duszy poczuciu prawdy i sprawiedliwości — która nie znosi rozterki słowa z czynem i natychmiast w naturze bunt wywołuje.

Im poziom rodziny jest niższy tem rozgłośniej odzywają się echa rozterki pomiędzy młodszem a starszem pokoleniem — każdemu bowiem wstępującemu w życie danem jest prawo zreformowania stosunków, ulepszania ich, krzewienia nowych idej. Opór starszych sprawia, że lepsze, szlachetniejsze jednostki albo się oszańcowują w bolesnem milczeniu, albo też podnoszą bunt przeciwko tym, co je chcieli zaprządz do taczki poziomego bytu, codziennej troski o chleb powszedni.

Najłatwiej wtedy na te szarpiące się w pustce dusze pada zły posiew, który je wynaturza i pcha na zgubne drogi i te jednostki, co miały być podporą i dźwignią społeczeństwa, stają się jego krzywdą i zakałą...

I oto mamy się udać na poszukiwanie tego bezcennego skarbu, na którego utratę żali się ustępujące pokolenie. Wszakże odnalezienie go byłoby ni mniej ni więcej jeno odzyskaniem tej harmonii cudownej, w której starzy i młodzi dążyliby razem do wspólnego ideału. Czy potrafimy go w wywodach naszych odnaleźć, czy też ciąży nad nami tak silnie przekleństwo obniżenia się go w życiu, że próby nasze będą zbyt słabe i daremne. — W każdym razie dopomożemy może innym do wykreślenia drogi, którą następne pokolenie szczęśliwsze, a może tylko lepsze i bogatsze w zdobyte doświadczenie, zdążać będzie do celu.

Zanim zaczniemy rozpatrywać przyczyny i skutki tego smutnego objawu naszych czasów — zwrócić jeszcze musimy uwagę, że nieufność dzieci do rodziców zaznacza się przeważnie co do tych porywów, które one uważają za idealne, odbiegające od prozy życia dążenia; — czy to będzie jakaś działalność społeczna, czy udział w zebraniach politycznych — tak rozpowszechnionych obecnie nawet wśród młodzieży kształcącej się, dzieci chowają zazdrośnie przed rodzicami ten pęd ku sprawom ogólnym — zachowując go na swoją wyłączną własność.

Żaden objaw psychologiczny nie powstaje spontanicznie, musi mieć latami przygotowane podłoże, chcąc więc ten, o który nam chodzi oświetlić i zbadać, musimy się cofnąć do przeszłości i przejść cały szereg momentów usposabiających.

Tem łatwiej przyjdzie nam wyciągnąć wnioski, że do pomocy stają nam nowoczesne badania nad psychol gią dziecka, które zmieniają do gruntu nasze pojęcia o wychowaniu. Niedoceniona jeszcze dziś wielka mistrzyni narodu Marya Konopnicka woła:

„Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę
„Czuje, gdy widzi ten świat w starej korze
„Że coś innego ze świata być może,
„Gdy się narodzi innym, z ducha cudów
„Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów
„Które za jadłem jeno łażą chciwie...."

Dziwnym trafem te natchnione słowa są poetycznym wykładnikiem postulatów ostatniego zjazdu pedologicznego w Brukseli, w którym kilka z naszych wychowawczyń czynny udział brało.

Oto jakie jedna z nich wyciąga wnioski z treści całego szeregu referatów odczytanych na kongresie:

„Któż zdoła przewidzieć kierunek

rozwojowy ludzkości o ile ta zostanei wychowaną normalnie, mądrze i troskliwie — zupełnie nieobliczalne skarby możliwości spoczywają w człowieku, działalności jego kresu zaznaczyć niepodobna. Posiada on moc wiecznej wiosny i ciągłej odnowy, wrodzone pragnienie ekspansyi, jakiś słoneczny heliotropizm mają dusze ludzkie i wszystkie prawie w dzieciństwie śnią złotą legendę o życiu. Śnią siebie jako bohaterów, mocarzy działaczy, a zawsze jako twórczych reformatorów, zbawców, budowniczych. Olbrzymie zasoby inicyatywy, bezinteresowności, bohaterstwa, idealizmu i piękna kryje osobowość dziecięca, ogromną żywotność, energię czynu, pracowitość, której jednak warunkiem jest swoboda wyboru, wielka ciekawość życia i świata, niezbanalizowane, młode o nim pomyślenie.

Każde dziecko buduje od nowa swój stosunek do świata, buduje mozolnie, lecz po swojemu, aż w miarę dojrzewania utraci swą odrębną indywidualność w społecznej, przeciętnej, pozornie wygodnej normie, I oto w trudnej walce o zdobycie zgody pomiędzy sobą, a światem — rozwiewa się złota legenda, donkiszotowy sen o odrodzeniu świata, o bezwzględnem zmaganiu się ze złem do skonu, aż do ostatniego tchnienia.

Pierzcha to wszystko — i z dziecka idealisty, z dziecka rycerza i bohatera i nieskazitelnego apostoła prawdy i sprawiedliwości, wyrasta sklepikarz własnego życia.

Niekiedy jednak kruszec jest tak czysty, o tak bezwzględnej mocy, że sen dziecinny przeradza w duszy w dojrzałe, uparte bojowanie o jakąś świętą sprawę, o entuzyastyczną dziecięco-naiwną wiarę — lub też w natchnienie wieszczów — co w prostocie swej cudnej zawsze coś z dziecka zachowują. Tak się ocala wykradziony niebu ogień."

Lecz wpośród tych ludzi gwiazd— tych światłonośnych protemeidonów, tuła się w ubóstwie pragnień, w nędzy myśli, tłum ludzki, spełniając tylko smutną rolę ogniw łańcucha skuwającego dolę ludzką. Ten szary, bezimienny tłum, to ludzie, co wyrośli z dzieci, którym tak długo kurczono duszę, tak zabiegliwie tłumiono jej boskie pierwiastki — aż wreszcie przestali wierzyć we własną moc — poszli jak niewolnicy w jarzmo podsuwanych im ciągle poziomych celów, pospolitych zabiegów, zatracili moc twórczą."

Gdy po rozważeniu słów powyższych spojrzymy po za siebie — gdy nam one oświetlą ten deptak codziennych, małostkowych trudów, który nazywamy życiem, gdy nam ukażą właściwą wartość tego wszystkiego za czem ubiegaliśmy się bezustannie: światowych uciech,marnego użycia i egoistycznego zadowolenia — jakie chybionem wyda nam się wtedy wychowanie naszych dzieci, które staraliśmy się na tym nizkim poziomie etycznym utrzymać, aby im zapewnić w przyszłości: spokój i dostatek.

Jaskrawą błyskawicą, która musiała przedrzeć się do naszej wiadomości, był zamęt rewolucyjny 1905—6 r., w którym młodzież nasza tak żywy udział brała; — i strejk szkolny zorganizowany po za nami i bezprzykładne wiece córek, tych pieszczonych i kochanych, którym przecież starałyśmy się zapewnić los przez zamążpójście i osłonić je od trudów zarobkowej pracy, i cały wiek brutalny, co nas takiem przejmował przerażeniem! Dzieci szły jakąś inną nieznaną nam drogą — a my na naszej wązkiej ścieżce zostaliśmy bezradni, samotni i smutni....

Nie myślę przemawiać, ani pochwalać bezładnego ruchu młodzieży, uważam go bowiem w dziedzinie politycznej szczególniej za objaw braku równowagi moralnej w rodzinie — muszę jednak skonstatować, że w tej przełomowej chwili dzieci nasze odczuły głód duszy, nie zaspokojony w ogniskach domowych, — że zaś zbyt długo więziono je w niewoli ciała, więc czysty płomień ich entuzyazmu skaziły brudne, szkodliwe pierwiastki.

W naszych oczach przecież odbywały się wiece uświadamiające, czerpano chciwie, pełnemi dłońmi z zatrutych źródeł — szukano omackiem nowych horyzontów.....

Jest to smutnym przywilejem tych, do których już nie należy przyszłość, że chętnie myślą i czuciem zwracają się ku przeszłości. Należę do tego pokolenia, którego pierwsze dzieciństwo przypadło na epokę „górną i chmurną." We wspomnieniach moich rysuje się biały dwór na skraju gór i lasów Świętokrzyskich — chowała się w nim gromadka dzieci...

Właściwie nie wiem czy je kto chował — czasy były takie, że nie zbyt dbano o to, co swoje, matka zajętą była przyjmowaniem i żywieniem ciągle przybywających oddziałów powstańczych, — z którymi toczyły się nieustannie „ciche, tajemne rodaków rozmowy", ojciec z latarnią, którą dziś jeszcze mam świeżo w pamięci, całemi nocami obchodził podwórze gospodarskie,, strzegąc od groźnego a niespodziewanego najścia, służba, tak zwane wówczas „panny służące," niezbędne w każdym ziemiańskim domu, szyły grube rękawice i baszłyki, raniące sobie na nich nielitościwie palce — a dzieci?

Dzieci patrzyły, słuchały i wchłaniały w siebie wpływy otoczenia — odnajdując w swych dziecinnych umysłach i serduszkach i zrozumienie wszystkiego i współczucie.

Wszakże wszystko naokół działo się jak w bajce, jak w nieprześnionym ich śnie cudownym: i rycerze walczący za wolność i o zdobycie świętej uwięzionej królewny i szum anielskich skrzydeł....

Nikt tym dzieciom nic nie zakazywał ani nie nakazywał — uczyły się przykładem.

Atmosfera, którą oddychały, była przesyconą poświęceniem i ofiarą — zapomniano o osobistych, egoistycznych aspiracyach na rzecz wielkiego i świętego celu i dzieci chowały się dobrze.

Czyż można było wtedy wątpić nawet o ich przywiązaniu i zaufaniu do rodziców? kochały ich — wielbiły nawet, a w marzeniach dziecięcych pragnęły im dorównać.

A gdy po pamiętnej bitwie pod Małogoszczą, biały dwór zamienił się na szpital — chłopcy skubali szarpie — a dziewczynki nie odchodziły już od kolan matki, prześcigając się w posługach.

Biała jej ręka opatrująca rany bohaterów — była dla nich symbolem świętości, nie śmiały nawet złożyć na niej codziennego pocałunku.

A takich białych dworów było wówczas tysiące w Polsce — miały one swoje winy w przeszłości — głuchy — milczący sznur chałup chłopskich wyciągnięty wzdłuż drogi — z zawartemi wrotami, za któremi kryli się wylęknieni mieszkańcy, nieufni i niegościnni — to była niema skarga i obwinienie... Dwory składały jednak wówczas daninę krwi, życia i mienia i była to chwila, w której z pewną słusznością mogły o sobie powiedzieć: „czujemy i myślimy za miliony." Minęła burza — ujrzeliśmy się rozbitkami, tułaczami na własnej ziemi, w około pustka i ruina — rozczarowanie i gorycz przegryzała dusze. Za mało było hartu na to, żeby pędzić dalej życie w ofiarnej służbie dla Tej — dla której nie wahali się nasi najlepsi synowie umierać. Przekształcono oręż na lemiesz, przeorywano nim jednak tylko wierzchnią skibę — dla doraźnego plonu — nie umiano sięgnąć do jej głębi — po skarby tam ukryte, nie zdołano sprawić, by każdy mieszkaniec tej ziemi nosił, podług słów Szczepanowskiego, w duszy wizerunek tej ojczyzny, która ma kiedyś zmartwychwstać.

Stopniowy ucisk, brak życia poli-

tycznego, ograniczenie działalności społecznej do minimum, rozleniwiały ducha i usypiały samowiedzę moralną i obywatelską. Wszelkie oddziaływanie warstw inteligentnych na ciemne masy było surowo wzbronione. grzęzły więc klasy uprzywilejowane w egoistycznym kwietyzmie, zdobywając się zaledwie na filantropię względem swego ciemnego otoczenia. Co jednak jest najboleśniejszem to to, że pokolenie, które się wychowało w podobnych warunkach, czuło się względnie zadowolone, niemal szczęśliwe. Znam dobrze stosunki tak wiejskie jak wielkomiejskie, lata całe patrzyłam, jak na wsi prócz trosk codziennych, związanych ze zmianami atmosfery, z nieurodzajem lub zniżką cen zboża — nie obchodziło ziemiaństwo nic więcej — jak w Warszawie bawiono się wesoło w karnawały ciesząc się, że wzmagający się przemysł i handel dawał sute dochody zawodowcom, — nie zastanawiano się jednak nad tem, że na wsi nie podnosi się kultura rolna, nie wzrastają potrzeby u mas włościańskich, że w miastach przemysł i handel opanowali obcy przybysze — czyniąc sobie z naszego ludu wyzyskiwaną najemną siłę roboczą.

Usuwało się wszystko z pod stóp — a z hasłem „après moi le déluge" nasze wyższe sfery i zamożniejsze mieszczaństwo uciekały za granicę „do Europy" — aby odetchnąć choć czasowo obcą cywilizacyą po przymusowem wytrwaniu w zacofanym, barbarzyńskim kraju.

A w tej atmosferze chowały się nasze dzieci, ten materyał na zdobywców, reformatorów i apostołów — a chowano je bardzo nawet starannie w tych sferach, o których mówiłam powyżej. Nie dopuszczano do nich żadnych wpływów z zewnątrz, żadnych odgłosów walki i nędzy życiowej — tworzono im z domu rodzinnego oazę na pustyni, w której oddychały chłodem rozbudzonego egoizmu. Zgodzono się wreszcie, dla karyery, na ten najwyższy kompromis z sumieniem, jakim było oddanie dzieci do szkoły rosyjskiej. Poszły do niej i chłopcy z owego białego dworu, który żyje w moich wspomnieniach, a było to właśnie w tem mieście, którego życie szkolne opisuje wiekopomny dokument dziecinnej męki pod rządem rosyjskim, syzyfowe prace Maurycego Zycha.

Jakkolwiek mam bolesny żal do tego autora, że jego czyn wprost okrutny, jakim było rzucenie w żar zdenerwowania i roznamiętnienia młodzieży w czasach rewolucyjnych — brutalnych i beznadziejnych dziejów grzechu, nie mogę mu nie być wdzięczną za to znakomite oddanie krzywdy, jaką młodym duszom czyniła szkoła narzucona. Z chłopców, o których wspominam — starszy miał jeszcze zbyt żywo w pamięci poszarpane sztandary, wyrabiał się więc w jego duszy ten tłumiony entuzyazm, co to go Szczepanowski nazwał skropleniem uniesienia — zawsze on prawie rozsadza naczynie, w którem jest zawarty — na młodszym szkoła miała nieprzeniknioną skorupę, przez którą się nie zdoła przedrzeć promień szerszych poglądów, dążenia do ideału. Przykład ten można uogólnić na całe ówczesne pokolenie, — nieliczne ofiary bezowocnych porywów i tłum obojętnych zjadaczów chleba.

(Dokończenie nastąpi.)



Przemysł polski a niemiecki w miastach W. Księstwa Poznańskiego.

III.

W ostatniej części zajmuje się komunikat „Korespondencyi Statystycznej" stosunkami narodowościowemi w poszczególnych zawodach. Niestety liczb dokładnych się nie podaje, tylko ogólnikowo zaznacza, w których zawodach Polacy lub Niemcy mają większość, najwyżej się podaje liczbę przedsiębiorstw, o którą jedna narodowość drugą przewyższa. Trudno dociec dlaczego dokładniejszych rezultatów nie opublikowano, chociaż je bez wątpienia posiadano. Warto się jednak zapoznać i z tem, co podano, bo i z tego możemy wyciągnąć niejeden pożyteczny wniosek.

Dowiadujemy się nasamprzód, że wielką przewagę mają Polacy w przemyśle konfekcyjnym (tak zw. „Bekleidungsgewerbe"), do którego zaliczamy szewców, krawców, szwaczki, strojarki, kuśnierzów, kapeluszników, rękawiczników i t. p. W tej gałęzi przemysłowej istniały w Księstwie ogółem 14.933 przedsiębiorstwa, z tych zaś 11.284 miały siedzibę w miastach. Z liczby tej było przedsiębiorstw *polskich* 6.999, a niemieckich tylko 4.285. Napozór to bardzo korzystnie wygląda, w rzeczywistości jednak mała z tego dla nas pociecha. Są to przeważnie szewskie i krawieckie przedsiębiorstwa, walczące rozpaczliwie o byt.

Samych szewców samodzielnych było Polaków około 3.300, Niemców zaś tylko 1450 [1]); Polacy od dawna już mieli zamiłowanie do tego zawodu. Przed sześćdziesięciu laty było w Poznaniu polskich szewców więcej niż wszystkich innych polskich rzemieślników razem wziętych. Dziś już jest inaczej, zawsze jednak liczba szewców polskich jest jeszcze bardzo wielka. A mimo to, wielka część ludności polskiej chodzi w obuwiu pochodzącem z fabryk *niemieckich!* Szereg szewców polskich jest niczem innem jak tylko ajentami firm niemieckich, — wołają głośno „swój do swego," wabią publiczność do kupowania wyrobów obcych i ogładzają przez to własnych braci. Z powodu tej konkurencyi mechanicznego obuwia szewstwo podupada coraz bardziej. W ciągu lat 1882—1907 zmalała w Księstwie liczba osób pracujących w tym zawodzie o ca 1.600, i to mimo że ludność znacznie wzrosła, a więcej jeszcze wzmogło się zapotrzebowanie obuwia. Niemcy, widząc upadek tego zawodu, stronią od niego i pozostawiają Polakom wykosztowanie biedy szewskiej.

Podobnie się ma rzecz w zawodzie krawieckim. I tu liczba przedsiębiorstw polskich przewyższa niemieckie o blizko 18 proc. Jednakże i krawiectwo należy do zawodów upadających. Zbyt towarów konfekcyjnych wzrósł w naszej dzielnicy ogromnie. Szczególnie ludność wiejska, doszedłszy do znacznego dobrobytu, ma co do konfekcyi obecnie daleko większe już potrzeby i wymagania niż przed laty. Cały ten większy popyt pokrywa jednak praca obca. W naszych dzielnicach 1882—1907 liczba pracujących w tym zawodzie nawet zmalała, w Księstwie o 400, w Prusach Królewskich o 1.700 osób. W tym samym czasie wzrósł przemysł konfekcyjny Berlina z 77.000 osób pracujących na 141.000! Tam więc znajduje się niebezpieczna konkurencya dla naszego przemysłu. Z powodu tej konkurencyi upada krawiectwo nasze coraz bardziej. Niemcy zaś, wyczuwając lepiej od nas, że tu nie dużo już zarobić można, pozostawiają nam te zawody.

Z innych nielicznych zawodów, w których Polacy mają większość, już tylko mularzy, dekarzy, kołodziejów i stolarzy wymienić możemy. Gdybyśmy jednak znali wielkość przedsiębiorstw przypadających na jedną i drugą narodowość, to napewnobyśmy się przekonali, że w ręku polskiem przeważnie tylko mniejsze przedsiębiorstwa się

[1]) Statystyka rządowa podaje przy niektórych zawodach nadwyżkę przedsiębiorstw jednej narodowości w cyfrach absolutnych i procentowych, tak że na mocy tychże liczbę ogólną dosyć dokładnie obliczyć można.

znajdują, tak że przewaga polska w rzeczywistości jest tylko pozorna.

W przemyśle mineralnym, do którego zaliczamy cegielnie, garncarstwo, fabrykacyę wyrobów cementowych, kamieniarstwo i t. p., mają Niemcy zupełną przewagę. Dwie trzecie przedsiębiorstw (głównie cegielnie) tej gałęzi przemysłowej mają siedzibę na wsi. Z około 325 przedsiębiorstw tego rodzaju w miastach ca 100 jest własnością Polaków, a 225 Niemców. Prawdopodobnie podział jest taki, że Polacy są głównie biednymi garncarzami, Niemcy zaś posiadają cegielnie, fabryki wyrobów cementowych i t. d.

Mniej znaczną jest przewaga Niemców w przemyśle metalowym (wyłącznie fabrykacyi maszyn i aparatów). Przedsiębiorstw niemieckich jest tu około 830, polskich około 650. Najwięcej w tym przemyśle liczymy kowali, i w tym zawodzie Polacy są równie licznie reprezentowani jak Niemcy. Natomiast blachnierzy było 105 niemieckich więcej niż polskich, dalej także 54 ślusarzy niemieckich więcej.

W przemyśle maszyn, aparatów i narzędzi jedynie w zawodzie kołodziejskim, jak już wspomnieliśmy, mają Polacy większość, w wszystkich innych gałęziach Niemcy. Tak jest fabryk maszyn i aparatów niemieckich o 43, zegarmistrzów o 85 więcej.

Z innych zawodów wymieniamy tylko niektóre. Z około 140 aptek miejskich jest w ręku polskiem tylko ca 50, w niemieckiem ca 90. — W przemyśle włóknistym (powroźnicy, pończosznicy i t. p.) na Polaków tylko jedna czwarta przedsiębiorstw przypada. W przemyśle papierniczym, jak i drukarskim, jest liczba przedsiębiorstw niemieckich także o wiele większa. Drukarń niemieckich jest o 61 więcej, introligatorni o 30, fotografów o 45.

W przemyśle artykułów spożywczych mamy przedsiębiorstw polskich około 2000, niemieckich około 2350. Za to są przedsiębiorstwa niemieckie znaczniejsze, n. p. mają Niemcy 92 młyny więcej, 66 mleczarń i fabryk serów, 51 browarów, 44 gorzelnie, 62 przedsiębiorstwa tabaczne więcej niż Polacy.

Większość Niemców w przedsiębiorstwach budowlanych wynosi 455 (= 15,52 proc.). Kuśnierzów niemieckich jest 66 więcej, nawet koszykarzy o 75 więcej.

Na podstawie tych danych możemy sobie dosyć dokładnie wyobrazić, jak mały jest dotychczas nasz udział w przemyśle naszej dzielnicy. Jeszcze gorzej sprawa wygląda w handlu. Na mniejwięcej 11 tysięcy przedsiębiorstw handlowych w miastach Księstwa jest w ręku polskiem około 4.150. Niestety nie wiemy, jakie to przedsiębiorstwa, jakiej wielkości i do jakich branży należące. Że cyfra powyższa jednak nie wyraża należycie naszego udziału w handlu, to wynika już z tego, że we wszystkich gałęziach handlowych odrzucających znaczniejsze zyski mają Niemcy i żydzi olbrzymią przewagę.

Najsilniej są Polacy prawdopodobnie w handlu kolonialnym reprezentowani, bo dla mądrych żydów ta gałąź handlu już od dawna za kiepsko się rentuje. Za to w takim handlu zbożowym firmy polskie giną wprost wobec ogromnej liczby firm żydowskich. Statystyka nie podaje niestety, ile handli zbożowych jest żydowskich i niemieckich, a ile polskich, podaje tylko, że niemieckich (włącznie żydowskich) jest 354 więcej niż polskich. Porównawszy liczbę tę z ogólnemi rezultatami liczenia przedsiębiorstw z r. 1907, mogliśmy stwierdzić, że sama ta nadwyżka stanowi blizko $^3/_4$ wszystkich handli zbożowych, tak że polskich przedsiębiorstw bodaj czy jedna ósma ogólnej liczby istnieje.

Wydaje nam się, że handel bławatny już w znacznej części wyrwaliśmy z rąk żydowskich, tymczasem z statystyki dowiadujemy się, iż w miastach Księstwa jeszcze jest liczba niemiecko-żydowskich handli bławatnych o 532 większa od polskich! A mimo to się niejednemu zdaje, iż polskich bławatników już jest za dużo, że wnet już poczną nawzajem się zjadać. Co najmniej jeszcze z 300 handli bławatnych powinno przejść w polskie ręce, a jeszcze byłoby ich w stosunku do liczby ludności mniej niż obcych.

Wobec tego nikogo już dziwić nie będzie, że Niemcy znaczną większość mają w handlu pieniężnym, komisowym, w gałęzi ubezpieczeń i t. d. Wobec trudności, które władze robią restauratorom Polakom, łatwo też zrozumieć, że i tych jest wobec niemieckich bardzo mało; jest ich mniejwięcej 1.100 na 2.200 Niemców.

Na koniec komunikat urzędu statystycznego dodaje następującą uwagę: „Jeżeli liczbę przedsiębiorstw miejskich obydwóch narodowości porównamy z liczbą ludności polskiej i niemieckiej w miastach, to przekonamy się, że stosunek przedsiębiorstw polskich do ludności polskiej, a stosunek przedsiębiorstw niemieckich do ludności niemieckiej jest liczebnie mniejwięcej ten sam; świadczy to o tem, że już za czasów liczenia (r. 1907) każda narodowość potrzeby swe u przemysłowców i kupców własnych zaspakajała.“

Konkluzya taka jest conajmniej ciekawa, bo wbrew faktom i ścisłym cyfrom przytoczonym chce komunikat rządowy wywołać mniemanie, że tak Polacy jak i Niemcy przestrzegają już w zupełności hasła „swój do swego.“ Z twierdzenia tego domyślić się jednak możemy, w jakim celu rząd teraz ni ztąd ni z owąd opublikował rezultaty liczenia z r. 1907, — rezultaty, które niewątpliwie posiadał już dawno, ale które dla nikogo nie były dostępne. Najprawdopodobniej nic innego nie było powodem tego komunikatu, jak krzyk kupców żydowsko-niemieckich, że ludność polska z powodu wywłaszczenia ich bojkotuje. Komunikatem tym chciano od razu dwa cele osiągnąć. Po pierwsze wykazać, że w przedsiębiorstwach najznaczniejszych i w gałęziach najzyskowniejszych jest przewaga Niemców tak wielka, że chwilowo nie potrzeba się wcale obawiać konkurencyi polskiej. Po drugie chciano wykalkulować, iż liczba przedsiębiorstw polskich jest jednak już tak wielka, że prawdopodobnie cała ludność polska miast (— o ludności wiejskiej umyślnie się nie wspomina! —) już u Polaków zamawia i kupuje, tak że polskie hasło „swój do swego“ już nie dużo osiągnąć może.

Komunikat ten statystyczny miał więc za cel, dodać mieszczaństwu niemieckiemu otuchy i wiary w własne siły, a zarazem uspokoić je w obawie, jakoby samoobrona ludności polskiej zachwiać mogła jego podstawami. Wątpimy bardzo, czy komunikat ten cel swój osiągnie. Za jasno uwydatnia się z niego, w jak wielkiej mierze jeszcze przemysł i handel niemiecki Polakom byt swój zawdzięczają. Blizko połowa dochodów przepadłaby przedsiębiorcom niemieckim, gdyby Polacy zupełnie od nich się odwrócili.

Dla nas opublikowanie tych danych jest o wiele cenniejsze jeszcze niż dla Niemców, i żałować tylko możemy, że tak bardzo jest niedokładne. O tyle jednak jest *dosyć* dokładne, że nam wykazało jak bardzo, bardzo jeszcześmy słabi na polu przemysłowem i handlowem. Mniej już dokładnie wskazał nam komunikat rządowy, które gałęzie przemysłu i handlu dotychczas jeszcze przez nas zaniedbane, — jednakże i tu to, co nam zdradził, będzie może dostatecznym bodźcem, aby te braki wyrównać — tak w statystyce jak i w rzeczywistości.

Dr. Spandowski.

Nie nam marzyć o róż rwaniu,
O bogdance i kochaniu —
Dla nas niema róż.
My, jak ptacy na wędrówce,
Dziś tu, jutro na placówce
Może staniem już!

Mieczysław Romanowski.



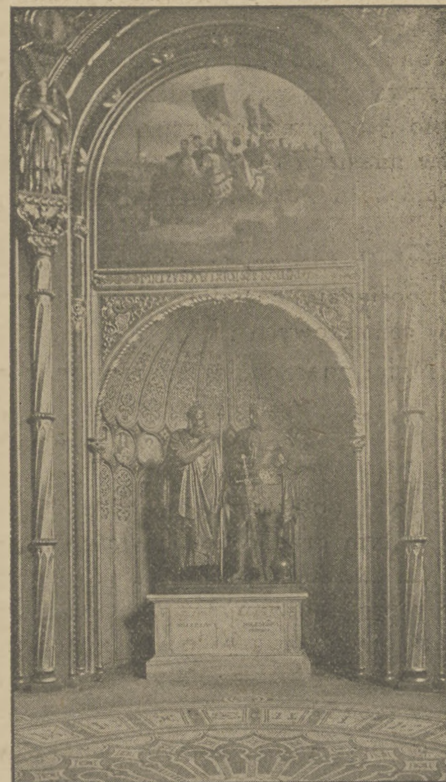
Złota kaplica.

Po ukończeniu wojen napoleońskich — pisze dr. Nikodem Pajzderski w „Dzienniku Poznańskim“ — zrodził się w Poznaniu pomysł godnego uczczenia pierwszych książąt chrześcijańskich w Polsce Mieczysława i Bolesława Chrobrego. Gdy projekt Schinkla, sporządzony w r. 1833, okazał się zbyt drogim,zdecydowano się przebudować dawną kaplicę Przenajświętszego Sakramentu na mauzoleum dla wyżej wymienionych książąt. Pracę tę powierzono architektowi Lanci'emu z Krakowa, która została wykonaną między r. 1836—40-tym w stylu bizantyńskim. Kaplica średniowieczna, przebudowana gruntownie w 17-tym wieku, przybrała według tego projektu kształt nieregularnego ośmioboku, zaznaczonego w swych załamaniach filarami połączonemi między sobą wywyższonemi łukami, pod któremi umieszczono od strony zachodniej nad wejściem ganek z trzema przezroczami, od strony wschodniej trzy okna. Ściany między filarami ożywiono nyszami i płaskiemi wnękami. Kolumny narożnikowe w swych bogatych kapitolach posiadają wplecionego orła polskiego, nad niemi widzimy modlące się aniołki. Pendentyny, wykroje między łukami przyozdobiono herbami najstarszych biskupstw polskich, nad którem biegnie fryz z herbami rodów polskich. Płaską kopułę pokryto dwudziestu postaciami Świętych polskich, na jej wierzchołku wyobrażeniem Boga Ojca między cherubinami. Szczegóły architektoniczne wykonane w stynku pomalowano woskowemi farbami polichromicznie. Dwa pola ścienne na wysokości ganku i okien nad głównemi nyszami przyozdobiono historycznemi scenami. Po północnej stronie namalował J. Suchodolski zburzenie bożków pogańskich przez Mieczysława, na przeciwnej E. Brzozowski Otona III. z Bolesławem Chrobrym przy grobie św. Wojciecha w Gnieźnie. Posadzkę mozaikową i obraz N. P. Maryi w ołtarzu według Ticyana, wykonał Salandri z Wenecyi.



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Złota kaplica w Katedrze poznańskiej po restauracyi.

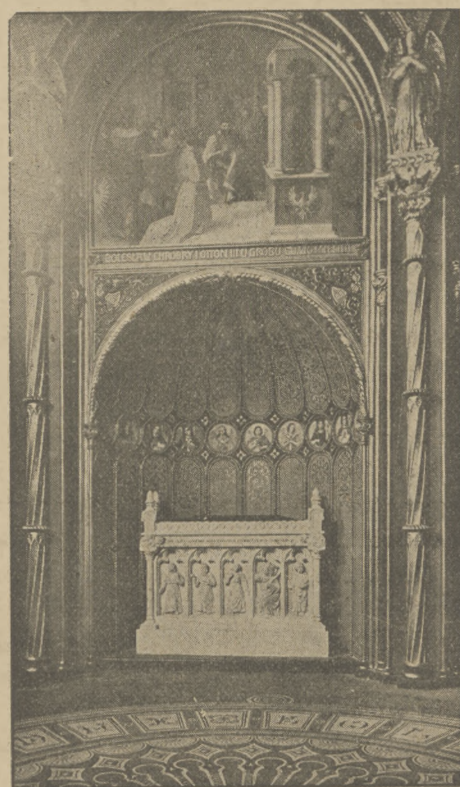


Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Złota kaplica w Katedrze poznańskiej po restauracyi.

Posągi Mieczysława i Bolesława.

Złota kaplica posiada nagrobek w kształcie tumby, w którym mieszczą się prochy Mieczysława i Bolesława, we-



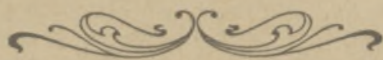
Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Złota kaplica w Katedrze poznańskiej po restauracyi

Nagrobek w kształcie tumby, w którym się mieszczą prochy Mieczysława i Bolesława.

dług projektu Lanci'ego o pięciu nyszach z postaciami świętych, — dwie z nich, postać jednego apostoła i Chrystusa z Koronacyi Matki Boskiej (częściowo zniszczonego) pochodzą z końca 14-go wieku — dalej posągi Mieczysława i Bolesława Chrobrego, dzieło berlińskiego rzeźbiarza Ch. Raucha, odlane w r. 1838—1839, a ustawione w r. 1841.

Obecnie kaplica dzięki zabiegom kapituły została odnowioną przez firmę poznańską „Polychromia.“ Pracami malarskiemi kierował Wiktor Gosieniecki, witraże projektował Henryk Nostitz-Jackowski. Obaj wywiązali się z swegô zadania wzorowo. Kaplica robiła pomimo swego bogactwa wrażenie rzeczy niewykończonej, tem więcej, że wiele szczegółów przy poprzedniej restauracyi pozacierano. Obecnie przywrócono delikatną ornamentykę roślinną na złotych wnękach, poprawiono obramienie ołtarza i ramy przy obrazie P. Maryi, również kolorom nadano więcej charakteru stylowego, słowem, złota kaplica otrzymała obecnie dawny swój blask kolorystyczny. Odnowienie obecne zaradziło i dalszym brakom, specyalnie rażącym przy tak bogatej polychromii. Szyby w oknach ze zwykłego szkła zastąpiono witrażami. Witraże, złotawe w tonach, o wzorach geometrycznych i ornamentyce umiejętnie skomponowanej, wykonane w technice „en grisaille,“ zlały dopiero swym dyskretnym akordem barwnym całą polychromię w jednolitą, harmonijną całość. W ten sposób dokończono dzieła, które w pierwszej połowie 19-go wieku budziło w Poznaniu największy interes artystyczny. Całość kolorystyczna przedstawia się imponująco, a o witrażach można to powiedzieć, że są pierwszemi witrażami w katedrze. Tumowi, dokąd spieszy każdy, kto tylko interesuje się naszą kulturą i sztuką, przybyła wielka ozdoba dzięki artystom poznańskim.



Kiedy mię wezwie sądu trąba złota,
Dźwignie się ciało z ciężkiej grobu głuszy —
I wstanę sprawę zdać z mego żywota,
Z serdecznych myśli, z życia mojej duszy —
Gdy się w swych grobach cała ludzkość zbudzi,
I znijdzie Chrystus, by osądzić ludzi,
Powiem, stanąwszy na swojej mogile:
— „Nic nie pamiętam, cierpiałem — wiem tyle!“

Zygmunt Różycki.

* * *



Na rozdrożu.

Niedawno temu jeden z wyższych urzędników ministeryalnych, który wracał z Bałkanu wysłany przez rząd austryacki w misyi dyplomatycznej, przejeżdżając przez Galicyę, miał odczyt we Lwowie o stosunkach na Bałkanie. W zakończeniu odczytu powiedział, iż z tego, co widział i zdołał zaobserwować na Bałkanie i w Galicyi, może śmiało powiedzieć, że koszta obecnej wojny, względnie przesilenia zapłaciła już Galicya. I rzeczywiście może żaden kraj w Europie nie odczuł tak silnie obecnych wypadków, jak właśnie Galicya. Powodów do tego wiele, wiele na to składa się przyczyn czysto ekonomicznych, ale są i głębsze polityczne. Przemysł nasz dopiero zaczął się rozwijać, gdy u kolebki jego w chwili może dlań najkorzystniejszej dla niego wypadki położyły kres jego dalszemu rozwojowi, co więcej jego może nawet i istnieniu. Polityczne momenty tkwią głównie w tem, że ewentualna przyszła wojna Austryi z Rosyą przeważnie dotknęłaby naszą właśnie dzielnicę, wreszcie jedną z najważniejszych może przyczyn, to właśnie to zelektryzowanie, które owładnęło naszym krajem, jak żadną inną dzielnicą Polski. Galicya może najmniej ze wszystkich dzielnic od czasów rozbiorów odczuwała wypadki i brała też udział w znikomej części w gorącem życiu narodu. Oderwana jeszcze w 1772 r. od Polski, ani nie wpływała, ani też nie przeżywała odrodzenia narodu podczas wielkich reform ostatniego sejmu czteroletniego i pozostawała w błogiem uśpieniu, w jakiem zastał i pozostawił ją pierwszy rozbiór Polski. Ani rok 1794, ani wreszcie ostatni akt dramatu 1795 roku nie otrzeźwił mieszkańców podkarpackiej dzielnicy.

Ocknęła się na chwilę na widok orłów napoleońskich i ułanów polskich, którzy jak wicher przebiegli wszerz i wzdłuż Galicyę wzniecając wszędzie postrach wśród najeźdców, a wśród ludności nieopisany zapał, ale to zniknęło prędzej niż sen. Rok 31-szy małem odbił się echem w Galicyi. Rok 46-ty tylko właśnie w dużej mierze tej gnuśności i nieprzygotowaniu należytemu dzięki, sprowadził katastrofę, choć po wieki w historyi naszego narodu pozostanie smutną rzeczywistością, że do chłopa polskiego prędzej dotarł obcy rząd, i zawładnął nim za jednym zamachem i jak rozszalałą wichurę słał na mord własnych rodaków, niźli jego właśni rodacy umieli go porwać ku wielkim i szczytnym hasłom. A przecież rok 1794 jest dowodem, że można było mieć za sobą ten lud, a nie przeciw sobie. To też i rok 1848, jakkolwiek poruszył żywiej umysły, nie był nawet tem, czem był w Poznańskiem. Wtedy zagrały serca żywiej mieszczaństwu polskiemu, które schodząc z widowni swej do historyi chciało zadokumentować swe uczucie polskie. Rok 1863 nie wywarł dostatecznego oddźwięku w Galicyi również, a Rząd Narodowy ustawicznie się żalił na opieszałość i niezaradność władz kierujących galicyjskich. Jeśli dziś żywiej zadrgały serca, niż w innych dzielnicach, to wiele na to złożyło się powodów, ale w pierwszym rzędzie ten, że przecież tyle lat pracy intenzywnej nie pozostało bez rezultatu.

Lecz, aby przysłowiowa nasza niesforność i niezgoda nie przeszła przypadkiem do historyi, więc i tu w tak ważnych momentach niema zgody, owszem jest rozdźwięk i wzajemne zwalczanie. Jak wiadomo powstały u nas dwie narodowe władze kierujące obecnym ruchem narodowym: komitet obywatelski i tymczasowa komisya skonfederowanych stronnictw niepodległościowych. Obie te instytucye zwalczają się zawzięcie na zebraniach, w pismach etc. A przecież jeśli kiedy, to właśnie dziś, a przecież jeśli w jakich sprawach, to właśnie w tych najświętszych dla nas sprawach powinno być więcej po obu stronach wzajemnego zrozumienia i ustępstwa.

Wzajemne niedowierzania, wzajemne nieporozumienia i niejasności powinny być wyrównane i usunięte bezzwłocznie, jeśli chcemy rzeczywiście być lepszymi od naszych praojców, którzy dzięki swym wadom w takie położenie nas wepchnęli, jeśli chcemy brać na się ciężar odpowiedzialności nietylko za los naszej dzielnicy, ale innych. Quo usque tandem?....

S. W.



Przestronno ci w kolebce, gdyś jest jeszcze dziecię;
Zostań mężem, a szczupło będzie ci na świecie.

Bruno Kiciński.

Z naszych spraw.

Parlament niemiecki i sejm pruski
w dalszym ciągu obradują nad etatem. W parlamencie poseł Trąmpczyński poruszył sprawę sądownictwa, krytykując sądy, że wydawają nieraz wyroki pod wpływem politycznym, gdy tymczasem polityka nie powinna mieć żadnego wpływu w sądach. Przy obradach nad etatem pocztowym skarżył się poseł ksiądz Dunajski na lekceważenie Polaków ze strony urzędów pocztowych. Wezwał naczelnika poczt, aby zakazał szykanowania języka polskiego. W sejmie zaś poseł Korfanty krytykował postępowanie policyi i samego ministra wobec polskich stowarzyszeń i zebrań.

* * *

W sprawie wyborów świeckich.

Członek Koła polskiego, poseł dr. Łaszewski wystąpił w parlamencie nieniemieckim z następującem zapytaniem: „W dniu 30 grudnia r. 1912 odbyły się w okręgu świeckim wybory uzupełniające do parlamentu. Wynik wyborów został w odpowiednim czasie zakwestyonowany. Według paragrafu 35 regulaminu wyborczego należy komisarzowi akta wyborcze przesłać natychmiast odnośnej władzy, która powinna je przez centralną władzę administracyjną przedłożyć parlamentowi. Mimo to, iż od ogłoszenia wyniku wyborów upłynęło więcej niż sześć tygodni, akt parlament dotychczas nie otrzymał. Zapytuję się kanclerza, czy mu wiadome przyczyny zwłoki?"

* * *

Polacy w Westfalii.

Hakatystyczna „Post" zamieszcza następującą statystykę dzieci polskich, uczęszczających do szkół w Westfalii.

Wyłącznie po polsku mówiących dzieci było w szkołach ludowych:

Rok	1901	1906	1911
W obw. reg. monasterskim	1723	4211	8588
W obwodzie reg. Arnsberg	2845	6374	11827

Po polsku i niemiecku mówiących dzieci było:

Rok	1901	1906	1911
W obw. reg. monasterskim	2305	3781	6212
W obwodzie reg. Arnsberg	6270	8249	15411

Razem było w tych 2 obwodach regencyjnych w r. 1911 43,038 dzieci polskich. Hakatystyczny dziennik wzywa do przeciwdziałania polskiemu „niebezpieczeństwu" w rdzennie „pruskich" prowincyach.

* * *

Zdobycze niemieckie.

Do niezbyt dawna jeszcze w prasie hakatystycznej rozlegały się rozpaczliwe jęki na temat rzekomego przechodzenia znacznych bardzo obszarów ziemi w W. Ks. Poznańskiem w ręce polskie. I tak podług statystyki hakatystycznej w okręsie od 1896 do 1909 r., Polacy nabyli ogółem 92,474 hektary ziemi więcej niż Niemcy. Obecnie ujawnia się na tem polu zmiana na naszą niekorzyść.

W roku zeszłym 1912, zdobycze niemieckie przewyższyły nabytki polskie o 7734 hektary. Omyliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że wynik ten zadowolił hakatystów. Przeciwnie, pisma hakatystyczne przestrzegają przed optymizmem, niczem zdaniem ich nie uzasadnionym. W roku bowiem zeszłym wchodziły w grę czynniki wyjątkowe i nieprzewidywane. Najpierw więc przeszedł w tym roku w ręce rządu pruskiego względnie komisyi kolonizacyjnej majorat rydzyński, obejmujący około 7.500 hektarów, a następnie udało się w. księciu wajmarskiemu nabyć Choryń i Jerkę (1500 hektarów). Niezależnie od tego nabytki polskie w innych prowincyach równoważą podług wszelkiego prawdopodobieństwa aż nadto zdobycze niemieckie w W. Ks. Poznańskiem.

Wobec tego hakatyści, lekceważąc przymusowe wywłaszczenie czterech majątków polskich, obejmujących ogółem 1900 hektarów, domagają się od rządu, aby przystąpił do wywłaszczenia „latyfundyów", znajdujących się w ręku polskiem.

* * *

Nowa ustawa antypolska
weszła w życie z dniem 1. bm. W tym dniu bowiem przepłynęło z funduszu państwowego 100 milionów marek do kas i banków niemieckich w Prusach Książęcych, na Pomorzu i na Śląsku na cele „wzmocnienia własności niemieckiej."

Z wyznaczonych 100 milionów przypada trzy czwarte na większe majątki ziemskie.

* * *

Zaprzepaszczona ziemia polska.

Kołaczkowo w powiecie szubińskim kupił przed 6 laty p. Błochowiak od żyda Schwalbego. Był jednak finansowo za słaby. Z rozmaitych stron próbowano Kołaczkowo ratować, ale okazało się to niemożliwem. Obecnie nastąpiła ostateczność, której od dawna w kołach poinformowanych się obawiano. Oto „Mittelstandskasse" wyznaczyła parcelacyę 240 morgów z obszaru kołaczkowskiego na czwartek 20 bm. i wezwała tylko Niemców, aby na termin się stawili.

W ręce niemieckie przeszedł 800 morgowy folwark p. Szymańskiego w Żółwinie w powiecie bydgoskim. Nabył go za 325,000 marek właściciel dóbr p. Wegner. Folwark ten należał swego czasu do dyrektora banku ludowego w Inowrocławiu p. Grossmanna, który go sprzedał Polakowi. Obecnie z trzech rąk dostał się Niemcowi, a różnica w cenie wynosi okrągło 200 tysięcy mk.

Gospodarz Jakób Proch przefrymarczył w Szadłoszczu swoją 26 morgową posiadłość przez „Mittelstandskassę". Kilka lat temu sprzedał nabyty po rodzicach grunt także Niemcowi w Szczepanowie.

Gospodarz Kryszak w Dębłowie w parafii modliszewskiej (powiat gnieźnieński) sprzedał swe gospodarstwo obszaru 70 morgów Niemcowi p. Wendorffowi z Mielna. Przewłaszczenie już nastąpiło. Dotąd wieś była czysto polską.

* * *

Zjazd delegatów „Wyzwolenia".

Zwolennicy idei szerzenia zupełnej wstrzemięźliwości w społeczeństwie urządzili zeszłego poniedziałku zjazd delegatów Związku Towarzystw „Wyzwolenia" na sali Domu Katolickiego.

Zjazd otworzył serdecznem przemówieniem prezes centralnego Zarządu p. dr. Gantkowski. Przewodniczącym wybrano ks. Cieszyńskiego. Panna Irena Szatkowska z Poznania wygłosiła pierwszy wykład na temat: „Stanowisko kobiety w walce z alkoholizmem." Prelegentka wskazywała jak kobieta może w ruchu antyalkoholicznem działać". — Drugi wykład miał p. Kwiatkowski z Inowrocławia na temat: „Sprawa agitacyi i organizacyi w Tow. „Wyzwolenia". W wykładzie danych było szereg wskazówek, jak najskuteczniej zorganizować działalność Tow. wstrzemięźliwości. Mówca kładł główny nacisk w szerzeniu trzeźwości między młodzieżą. Przemawiał także dr. Gantkowski na temat: „Stosunki Tow. Wyzwolenia do „skautingu". Ćwiczenia fizyczne mogą bardzo przyczynić się do żywej agitacyi za zasadami „Wyzwolenia." — Ks. prob. Niesiołowski z Pleszewa, który uzupełniał wykład p. Kwiatkowskiego, podniósł, że władza policyjna uznała niektóre Tow „Wyzwolenia" za polityczne. Mówca radził, aby nie opierać się żądaniu policyi, gdyż „Wyzwoleniu" nic nie zaszkodzi, czy będą uznane za polityczne lub nie.

Nad wykładami wywiązała się nadzwyczaj ożywiona dyskusya.

Do Zarządu głównego wybrano ustępujących p. Witkowskiego z Poznania i ks. proboszcza Stankowskiego z Ostrowa nad Gopłem ponownie, a jako nowego ks. Cieszyńskiego z Poznania.

Po wyczerpaniu porządku obrad zamknął ks. przewodniczący Zjazd hasłem „Wyzwolenia": „Przyszłość nasza!"

* * *

Zjazd Młodzieży kupieckiej.

Zjazd delegatów okręgu zachodnio-pruskiego „Zjednoczenia Młodzieży kupieckiej" odbył się w zeszłą niedzielę w Toruniu, na który przybyli delegaci z Lubawy, Chełmna, Brodnicy, Chełmży, Olsztyna, Inowrocławia i Poznania.

Wykłady wygłosili: p. Krajna z Poznania na temat: „O obecnem położeniu pomocników handlowych" i p. Barański z Torunia na temat: „Młodzież kupiecka a podróżujący".

W końcu przyjęto jednogłośnie następującą rezolucyę:

„Zebrani w dniu 16 lutego w Toruniu delegaci okręgu zachodnio-pruskiego Zjednoczenia Młodzieży kupieckiej wyrażają pod adresem samodzielnych kupców Polaków prośbę, aby

1) zajmowali się sumiennie pomocnikami handlowymi, uwzględniając więcej ich godność osobistą i wyrabiając w nich poczucie koleżeńskości, przez co zyskać może tylko stosunek pomocnika do pryncypała.

2) aby — o ile tylko stosunki na to pozwalają — odzywali się w rozmowie prywatnej do personału polskiego w języku polskim."



NA WIDOWNI.

Duszna atmosfera niepokoju panuje wciąż w Europie.

Co tydzień oddajemy się nadziei, że ów nagły okres niepokoju musi doprowadzić do przesilenia rozstrzygającego, które sprowadzi albo istotnie wojnę, albo też upewni światu pokój.

Tymczasem mijają tygodnie i miesiące, a czarna chmura na widnokręgu politycznym ani myśli się ruszać z miejsca, ani się nie rozprasza. I u nas na terenie ekonomicznym ujawniają się następstwa ujemne i niepożądane. Gorzej pod zaborem austryackim; tam stan rzeczy wpłynął paraliżująco na wszelką pracę wytwórczą i sprowadził na kraj katastrofę; tylko w Królestwie panuje względnie największy spokój, dzięki zapewne temu, że władze surowo zabroniły umieszczania w gazetach wszelkich pogłosek alarmujących.

Ubiegły tydzień nie tylko, że nie przyniósł nic rozjaśniającego horyzont polityczny, lecz przeciwnie krąg nieba zasępił się jeszcze bardziej.

Rząd niemiecki wystąpił z projektem zbrojeń tak rozległych, że wiadomość o projekcie podziałała na Europę jak prąd elektryczny.

Z pewnem zaciekawieniem oczekują w Niemczech samych przyjęcia, którego dozna projekt rządowy w parlamencie niemieckim. Niedawno tam kanclerz i rząd zignorował w sposób prowokujący większość parlamentarną. Dziś tej większości szukać musi, jeżeli chce, aby powiększenie armii na stopie pokojowej zostało w czyn wprowadzone.

Bezpośrednią i natychmiatową odpowiedź dała Niemcom Francya.

Cały naród francuski, nawet najradykalniejsze stronnictwa polityczne oświadczyły zgodność z dalszemi zbrojeniami Francyi.

Gotowość do ofiar i strach przed ewentualną napaścią ze strony Niemiec idą tak daleko, że gotowi są Francuzi zaprowadzić u siebie z powrotem trzyletnią służbę wojskową, aby armia francuska mogła liczebnie dorównać niemieckiej

Zastanawiano się we Francyi nad kwestyą, czemu Niemcy zbroją się tak nagle?

Odpowiedzią na to pytanie mają być przypuszczenia, iż Niemcy nie mogą dziś liczyć nawet na pomoc Austryi, że ewentualnie mogą znaleść się w położeniu, iż wojnę prowadzić będą same.

Wiedząc o tem, że chodzi tutaj o egzystencyę państwa, chcą wytężyć wszystkie siły, aby się obronić.

Niemcy wiedzą o tem, z jaką nieufnością spogląda na nie każdy naród. Nie do pozazdroszczenia — tak sądzą w Europie — byłby w rzeczywistości los narodu, którył dostał się pod panowanie niemieckie, gdyż wkrótce zgotowaliby mu szowiniści niemieccy los Polaków pruskich.

Myśl, co oczekuje narody w razie podbicia ich przez Niemcy, sprawiła to, iż Niemców nienawidzi prawie cały świat ucywilizowany, i że znajdują się w takiem odosobnieniu, co obecnie.

Najlepszym dowodem fałszywej polityki szowinistów niemieckich, germanizacyi, wywłaszczania jest tu trudna sytuacya, w której się Niemcy znaleźli.

Fiasco polityki niemieckiej jest klasycznym dowodem fałszywości twierdzenia tego, że polityka narodowa powinna być samolubna, że jeżeli można komuś bezkarnie chwilowo coś zabrać, to należy uczynić w interesie narodu.

Otóż sprawiedliwość jest niewzruszoną zasadą w życiu tak poszczególnych ludzi, jak i narodów.

Szowiniści niemieccy nadawający ton i kierunek w polityce Niemiec doprowadzili nietylko Niemcy same do pożałowania godnego stanu, zmuszającego ich do nadludzkich wysiłków, ale wprowadzili zamet w całym świecie politycznym; dziś powszechne jest zdanie, że ustawiczne zbrojenia na lądzie i na morzu, niepewność i przerażenie Europy, to dzieło zachłannego hakatyzmu i szowinizmu niemieckiego.

Gdyby nie szowinistyczna polityka niemiecka, nie byłoby zbrojeń na morzu.

Żaden przecież z narodów europejskich nie obawiałby się o swój los, wiedząc o tem, że Anglia jest najpotężniejszem mocarstwem na morzu.

Potęgi w rękach Anglii nie obawiały się nawet mała Dania, państwa skandynawskie, lub Holandya.

Potęgi Niemiec na morzu boi się sama Anglia.

Każde z państw drży na samą myśl, co się stanie wówczas, gdy Anglia przez Niemcy zostanie pobita, gdy Niemcy bez żadnej kontroli władać będą Europą.

Gdyby nie polityka niemiecka byłaby już dawno rozwiązana kwestya bałkańska. Dawne Niemcy, Anglia, Francya, a nawet Rosya byłyby zmusiły Turcyę do zaniechania ucisku Słowian bałkańskich.

Rozzuchwalona opieką Niemiec Turcya dziś swe zuchwalstwo opłaca utratą panowania w Europie.

Gdyby nie opieka Berlina byłaby Turcya zmuszona do zaprowadzenia reform w krajach słowiańskich. Zaprowadzenie reform rzeczywistych byłoby umożliwiło narodom swobodny rozwój ekonomiczny i narodowy, nie byłoby wojny i grozy sytuacyi dzisiejszej.

Młodoturcy chcieli pójść śladami polityki wynaradawiania niemieckiej, ale samolubna polityka zemściła się na nich jako na narodzie słabszym bardzo szybko i bardzo strasznie.

Wogóle skutki polityki krzywdzącej innych okazują się dziś tak widocznie i namacalnie.

Czy krwawa lekcya, którą historya daje dziś ciemiężcom tureckim, nie pójdzie w las?

Czy dalej dziać się będą słabszym narodom krzywdy przez silniejsze? Czy siła przed prawem uchodzić będzie nadal za polityczną mądrość genialną?

Oto pytania, które sobie powinni przedewszystkiem szowiniści niemieccy w Berlinie rozważyć.

W ubiegłym tygodniu nie zaszedł żaden ważniejszy wypadek, na zewnątrz nie nastąpiła żadna zmiana donioslejsza, a przecież czuć w atmosferze, że zbliża sie moment ważny dziejowy.



Mikołaj Kopernik.

(Na 440-tą rocznicę zgonu.)

Dnia 19-go lutego r. 1473, a więc 440 lat temu, ujrzał światło dzienne w Toruniu jeden z najsławniejszych astronomów całego świata, chluba kościoła katolickiego i naszego narodu, Mikołaj, syn kupca Niklasa Kopernika i Barbary z domu Weisselrode. W r. 1491 zapisał się na wszechnicę Krakowską, gdzie studyował teologię, medycynę, matematykę i astronomię. W r. 1496 udał się do Włoch do Bolonii, gdzie słuchał prawa; a później w Padwie medycyny. W r. 1505 sławny już ze swej wiedzy i ważnych obserwacyj astronomicznych wrócił do kraju i osiadł jako kanonik we Fromborku nad Wisłą.

Tam oddał się całkiem badaniom astronomicznym i tam napisał swe nie-

śmiertelne dzieło w sześciu księgach p. t.: „O Obrocie Światów Niebieskich" i dedyktował je papieżowi, Pawłowi III. Drukowanem było to dzieło w Norymberdze, lecz dopiero w r. 1543, gdy autor był już śmiertelnie chorym i nie doczekał się też całkowitego opublikowania swego dzieła ,którego pierwszą odbitkę odebrał już na łożu śmierci. Umarł bowiem dnia 24-go maja r. 1543.

Prócz tego dzieła, w którem dowiódł, że nie słońce, lecz ziemia naokół słońca się obraca, napisał także wybitną pracę o trygonometryi i traktat o ruchu ósmej sfery, lecz traktat ów zaginął.

Nie tylko jednak pracował na polu naukowem, ale i na politycznem. Propagował projekt uwolnienia Prus od ciemiężącego lud Krzyżactwa i pisał o tem petycyę do króla Zygmunta I. Założył też wyższą szkołę w Elblągu i przyczynił się do uregulowania systemu monetarnego na sejmie w Grudziądzu.

Ogólnie rozpowszechnione mniemanie, jakoby Kopernik za twierdzenie swe o obrocie ziemi naokół słońca doznawał prześladowania ze strony Kościoła jest nieuzasadnionem, gdyż nie doczekał się on wcale całkowitego opublikowania swego dzieła. Wprawdzie jeszcze za życia wyszydzanym był przez wielu współczesnych za swe poglądy astronomiczne, pisywano nawet na niego zjadliwe satyry, ale o właściwem prześladowaniu nie mogło być mowy. Dopiero po śmierci Kopernika nauka jego zakwestyonowaną została przez Kuryę Rzymską, a dzieła jego postawione na indeksie; zaznaczyć jednak należy, że najwięksi ówcześni uczeni, a także protestanccy reformatorowie Luter i Melanchton potępiali naukę Kopernika.

Kościół po dokładnem zbadaniu jego systemu i odkryć zdjął w roku 1820 z indeksu dzieła nieśmiertelnego polskiego astronoma.

Niemcy usiłują koniecznie przywłaszczyć sobie Kopernika; jest to jednak bezpodstawnem. Wprawdzie matka jego pochodziła z niemieckiej, lecz od dawna spolszczonej familii Weisselrodów. Nawet w herbarzu Niesieckiego wymienionym jest między szlachtą polską ród Weisselrodów.

Lecz nietylko ze strony macierzystej, ale i ojcowskiej chcą Niemcy gwałtem zaliczyć Kopernika do swoich, wywodząc nazwisko jego od niemieckiego słowa „Köper". A jednak nazwisko Kopernik jest czysto polskie; bo słowo „kopernik" oznacza z czeskiego roślinę zwaną po polsku „koprownik", czyli żebrzyca. Od najdawniejszych czasów aż po dziś dzień we wsi Ląskowie, w dobrach Pabianieckich kapituły krakowskiej żyje polska rodzina kmiecia Kopernigów czyli Koperników.

Mikołaj Kopernik był zresztą Polakiem, bo urodził się, wychował i umarł na polskiej ziemi, w Polsce sprawował zarówno kościelne, jak i publiczne urzęda i był posłem na sejmie w Grudziądzu. Sam się uważał za Polaka i czuł się Polakiem.

Pochowanym został w katedrze warmińskiej a na marmurowej płycie jego grobu kazał w 38 lat po jego śmierci wyryć biskup Marcin Kromer następujący napis po łacinie:

D. O. M.
R. D. Nicolao Kopernico
Torunensi Artium etc. Medicinae Doctori
Canonico Varmiensi
Praestanti Astrologo
et ejus disciplinae
Instauratori
Martinus Cromerus Episcoptus Varmiensis Honoris et ad posteritatem memoriae causa posuit.
MDLXXXI.

(Po polsku znaczy ten napis: Wielebnemu Mikołajowi Kopernikowi z Torunia, sztuk i medycyny doktorowi, kanonikowi warmińskiemu, znakomitemu astrologowi i tejże nauki odnowicielowi, Marcin Kromer, biskup warmiński, dla czci i dla pamięci potomności położył r. 1581.)

Prócz tego napisu widnieje inny jeszcze napis, położony zaraz po jego śmierci, a jakiego sobie sam za życia ten skromny, a tak wielki mąż boży życzył. Napis ten brzmi:

Nie proszę o łaskę równą Pawłowej,
Ani też żądam łaski Piotra; lecz o tę,
Jaką na drzewie krzyża dałeś złoczyńcy
Korny błagam.

Stefania Tuchołkowa.

Nędzne są kraju takiego losy,
Gdzie rządców sławę i czyny
Płochość bez zasług wznosi w niebiosy,
Zazdrość potępia bez winy.

Kajetan Koźmian.

Obchód Powstania Styczniowego w Londynie.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Londyn, 17 lutego.

Kolonia Polska w Londynie święciła w tym roku uroczyście 50-tą rocznicę ostatniej walki orężnej o wolność ojczyzny.

Obchód odbył się w niedzielę 16-go lutego rb. , w Towarzystwie Polskiem przy Charles Square 38. Obszerna, przybrana w barwy narodowe sala Towarzystwa napełniła się po brzegi. Rzesze tułaczów zebrały się zdala od ojczyzny, aby razem uczcić godziwie wielką rocznicę.

Zgromadzonych kilkuset rodaków powitał serdecznemi słowy prezes Towarzystwa Polskiego ob. Rauch, streszczając zarazem doniosłe znaczenie obchodu.

Po odśpiewaniu hymnu narodowego: „Boże coś Polskę" wygłosił ob. Maryan Dąbrowski świetnie opracowany odczyt, którego zebrani wysłuchali w największem skupieniu.

Pięknie deklamowali: panna Zwierzchowska i pan Jan Rauch.

Towarzystwo „Wyzwolenia" odśpiewało „Warszawiankę".

Grono amatorów odegrało znakomicie „Wóz Drzymały". Sztuka ta wywarła na obecnych potężne wrażenie. Słowom: „Póki starczy chłopa, potąd Polska będzie żyła" towarzyszyła burza oklasków.

Nastąpił żywy obraz, wykonany przez tow. „Wyzwolenia": „Kucie kos" podług obrazu Grottgera.

Wrażenie tegoż przedstawienia było również ogromne.

Piękną uroczystość zakończyły świetne popisy Sokołów. Nadzwyczaj staranne ćwiczenia znalazły ogólne uznanie.

Z pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła" rozeszli się zgromadzeni do domów już po północy.

Na Polski Skarb Wojskowy zebrano 51 szylingów i 2 peny.

W obchodzie wzięło udział trzech weteranów z r. 1863: ob. Gutowski, Wereszczyński, Żółkowski. Dwóch z powodu choroby ob. ob. Wierzbicki i Jankowski na obchód przybyć nie mogli.

Reprezentowane były następujące instytucye: Czytelnia i Szkółka Polska w osobie p. Zofii Pace, Polskie Towarzystwo Literackie przez p. Henryka Pace. Gremialny udział wzięły następujące towarzystwa: „Wyzwolenie", „Filarecya", „Polska Partya Socyalistyczna".

Obchód powstania styczniowego pozostanie na długo w pamięci wygnańców polskich nad Tamizą. Cześć Ojczyźnie!

Teka.

Podobizny dworów polskich w W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy.)



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Oporowo.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Ujazd.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Wargowo.

Zamieszczamy w dalszym ciągu trzy podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj umieszczonych w luksusowem dziele p. L. Durczykiewicza z Czempinia p. t. „Dwory Polskie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem“. Nakładem p. L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy“.

Oporowo, powiat szamotulski, własność Mieczysława hr. Kwileckiego. Majątek ten był pierwotnie folwarkiem dóbr dobrojewskich; nabyty został drogą kupna w początku XIX wieku przez Adama hr. Kwileckiego z Dobrojewa od Kalkreutów. Obecny dwór, zbudowany w roku 1855, był przeznaczony pierwotnie dla urzędnika. W latach 1877/78 przebudował go i powiększył teraźniejszy właściciel według planów architekta Gorgolewskiego. Prace wykonał budowniczy Maryan Cybulski z Poznania.

Ujazd, powiat śmigielski, własność dra Jana Żółtowskiego. Majątek ten od kilku już pokoleń znajduje się w rękach rodziny Żółtowskich. W pierwszej połowie XVIII wieku był ujazd własnością Kaspra z Dzwonowa Rogalińskiego, herbu Łodzia, hrabiego św. Państwa Rzymskiego, kawalera orderów: Orła białego i Św. Stanisława, starosty obornickiego i posła Rzeczypospolitej w Petersburgu i Berlinie, ożenionego z Anną z Golińskich, herbu Prawdzic. Anna Rogalińska odstąpiła Ujazd na własność Józefowi Żółtowskiemu, herbu Ogończyk, miecznikowi wschowskiemu, pradziadowi obecnego właściciela. Dwór pochodzi z początków XVIII wieku, został wystawiony przez wspomnianego Kaspra z Duranowa Rogalińskiego.

Wargowo, powiat obornicki, własność dra Stanisława hr. Żółtowskiego. Majętność tę, należącą dawniej do rodziny hrabiów Skarbków, nabył Teodor hr. Żółtowski w roku 1883 i przekazał ją później najstarszemu synowi swemu dzisiejszemu posiedzicielowi Wargowa. Pałac zbudowany został w roku 1889 przez ojca obecnego właściciela.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Głosy od przyjaciół.

Londyn, dn. 10. lutego 1913.

(Obchód pięćdziesięciolecia styczniowego powstania).

W czytelni i szkółce polskiej 17. Old Ford Road. London N. E. już od rana niezwykły ruch i ożywienie zapanowały z powodu przygotowania obchodu styczniowego. Dzieci nasze polskie, młodociani aktorzy, wszyscy w

strojach narodowych z niecierpliwością oczekiwali chwili rozpoczęcia obchodu. Tłum w sali wielki, głowa przy głowie a ludzi coraz więcej przybywa i większa część ich odchodzi dla braku pomieszczenia. Przyległe pokoje, korytarze, schody, wszędzie pełno ludzi.

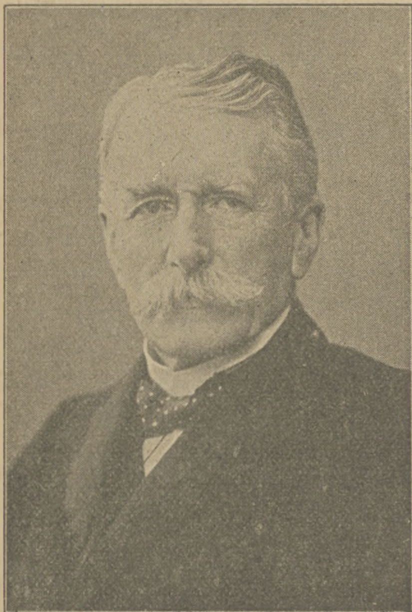
Chór dzieci zaintonował „Boże coś Polskę". Odczyt pełen zapału z energią i głosem serca przejmującym wypowiedział p. Witold Bunikiewicz i huczne zjednał sobie oklaski.

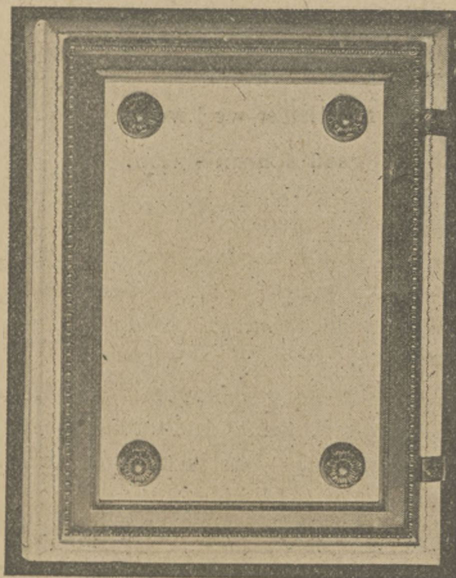
Z powodu postu dzieci odegrały religijne a zarazem patryotyczne Jasełka, które bardzo zainteresowały publiczność naszą polską zawsze na wskroś religijną. Rokrocznie dzieci jak i ich rodzice w czasie świąt Bożego Narodzenia bezwzględnie upominają się już o Jasełka i kolędy. Mundziu Rauch i E. Hozkowski deklamowali Konopnickiej: „Nie sprzedam ci ziemi".

Genia Krupińska i Zosia Grynkiewicz wśród roślin, kwiatów i bengalskich ogni śliczny odśpiewały duet, a inne dzieci jak Wandzia Rauch ślicznie deklamowały.

Entuzyazmu i uznania z strony słuchaczy było nie mało. Zakończył się obchód już po 10-tej godzinie śpiewem „Z dymem pożarów".

Uczestniczka.





Państwo Kaźmierzostwo Chłapowscy z Kopaszewa.
Sędziwa para czcigodnych jubilatów.

Podobizny Albumu Jubileuszowego

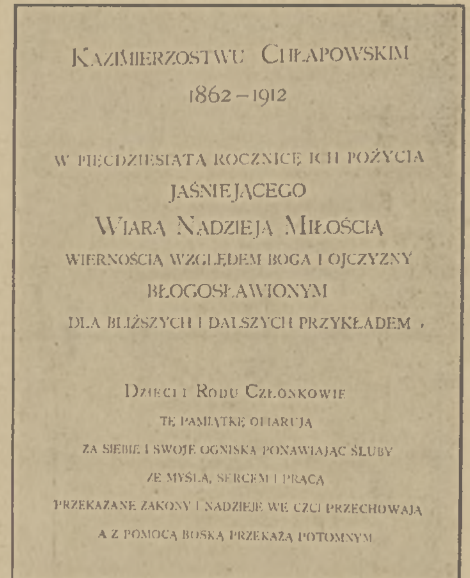
ofiarowanego pp. Kaźmierzostwu Chłapowskim z Kopaszewa z okazyi ich złotego wesela przez fundacyę rodziny Chłapowskich na tegorocznym zjeździe rodzinnym. Album wyłożyła w ubiegłym tygodniu w oknie wystawnem znana i ruchliwa firma zegarmistrzowsko-jubilerska W. Schultz przy ulicy Nowej 7-8, która w lecie r. z. wyłożyła pierścień jubileuszowy, ofiarowany Najprzewielebniejszemu Ks. Biskupowi Kloskiemu. Wogóle mieliśmy nieraz sposobność oglądania w wzmiankowanem oknie wystawnem przedmiotów nadzwyczaj artystycznych.

Niezwykłych rozmiarów album jest prawdziwem arcydziełem polskiej sztuki. Oprawne w białą skórę, zawiera fotografie członków rodziny Chłapowskich i należących do nich w Wielkopolsce siedzib.

Wierzch okładki

pokrywa w stylu cesarstwa utrzymana, z bronzu kuta i artystycznie rzeźbiona płyta, symbolizująca pamiątkową chwilę oraz Jubilatów działalność i zasługi.

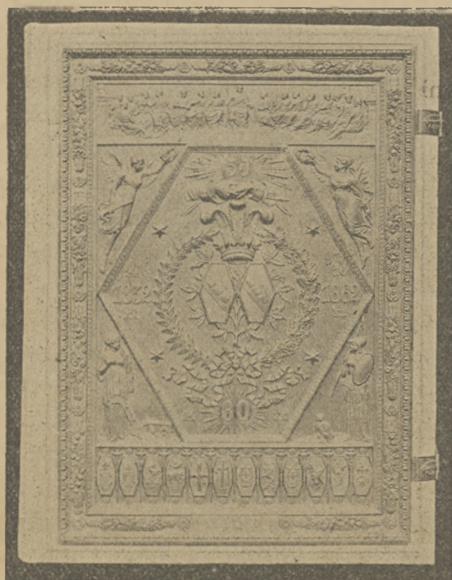
Płytę wykonała znana zaszczytnie z artystycznych swych kompozycyj firma braci Łopieńskich w Warszawie.



KAZIMIERZOSTWU CHŁAPOWSKIM
1862–1912
W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ICH POŻYCIA
JAŚNIEJĄCEGO
WIARĄ NADZIEJĄ MIŁOŚCIĄ
WIERNOŚCIĄ WZGLĘDEM BOGA I OJCZYZNY
BŁOGOSŁAWIONYM
DLA BLIŻSZYCH I DALSZYCH PRZYKŁADEM
DZIECI I RODU CZŁONKOWIE
TĘ PAMIĄTKĘ OFIARUJĄ
ZA SIEBIE I SWOJE OGNISKA PONAWIAJĄC ŚLUBY
ZE MYŚLĄ, SERCEM I PRACĄ
PRZEKAZANE ZAKONY I NADZIEJE WE CZCI PRZECHOWAJĄ
A Z POMOCĄ BOSKĄ PRZEKAŻĄ POTOMNYM

Fot. „Camera". Z. Śniegocki w Poznaniu.

Powyższy **napis pióra prof. Morawskiego z Krakowa widnieje na pierwszej stronnicy albumu.**



Fot. „Camera" Z. Śniegocki w Poznaniu.
Wierzch okładki albumu.

Fot. „Camera" Z. Śniegocki w Poznaniu.
Spód okładki albumu.



Podobizny uczestników powstania styczniowego.

(Ciąg dalszy.)

Maksymilian Broekere.

W numerze 3. „Pracy" na stronie 73 podany jest pomiędzy wizerunkami uczestników powstania W. Ks. Pozn. również wizerunek Maksymiliana Broekerego, lecz niestety nieprawdziwy, bowiem jakiegoś innego uczestnika powstania, którego nazwisko niewiadome.

Kapitan Broekere był, jak to również Jordan (Juljan Wieniawski) w swojem dziele: *„Kartki z mego pamiętnika"* (tom II. str. 28) opisuje, tęgim, krępym mężczyzną, lat średnich, marsowej postawy, czego wizerunek odnośny nie wskazuje. Podajemy w dzisiejszem numerze rzeczywistą podobiznę kapitana Broekerego, dostarczoną nam przez jednego z członków rodziny.

W *„Wspomnieniach z roku 1863"* Teodora Żychlińskiego znajdujemy następną wzmiankę: „Broekere Maksymilian, syn Ludwika i Prowidencyi z Brudzewskich, ur. 2 stycznia 1832 r. w Przytoczni (Prittisch) w powiecie międzychodzkim, ranny w nogę pod Ignacewem dnia 8. maja 1863 r., umarł dnia 20 t. m.

i roku wskutek pęknięcia bandaży i ubiegnięcia krwi. Pochowany w miejscu śmierci, w Lubstowie pod Sempolnem. W dwa lata później przysłano rodzinie pugilares, zegarek i pierścień herbowy po zmarłym. Nieboszczyk znany był ze swej siły atletycznej: fraszką było dlań podnieść w każdej ręce chłopa, lub stół nakryty na ośm osób w zębach dźwignąć do góry, jak to naoczni świadkowie do dziś pamiętają. Przeprowadził oddział gromadzący się w lesie sławoszewskim, przez granicę, dowodząc nim, póki go nie oddał pod komendę generała Taczanowskiego“.

Przy tej sposobności nadmieniamy, że Maksymilian Broekere był wnukiem Stanisława Broekerego, porucznika dziewiątego pułku piechoty księcia Antoniego Sułkowskiego, legionów francusko polskich. Stanisław Broekere odbył z pułkiem swoim kampanię hiszpańską. W bitwie pod Montril w sierpniu 1811 r. wpadł w ręce Hiszpanów i wywieziony został na wyspę Balearską, Majorkę, gdzie pozostawał w ciężkiej niewoli aż do 2. maja 1814 r. Ernest Łuniński w swem dziele „*Napoleon*“ podaje na stronie 156 wzmiankę o nim oraz portret jego. Także Walery Bagiński w swem dziele „*Typy Wiarusów Napoleońskich*“ podaje jego biografię i portret. W roku 1877 wydała Paulina Cybulska, córka Stanisława Broekerego, jego „*Pamiętniki z wojny hiszpańskiej*“, w których bardzo obszernie opisuje kampanię hiszpańską, o ile w niej brał udział i bardzo ciężką niewolę, w jakiej zostawał pod jarzmem hiszpańskiem nieomal trzy lata. Odzyskawszy wolność, powrócił do kraju. Zmarł w Warszawie 4. stycznia 1860 r.



Fot. A. i F. Zeuschner w Poznaniu.
Maksymilian Broekere, kapitan wojsk polskich.



Wycieczka na Magórę.

Ubiegłej niedzieli odbyła się wycieczka K. T. N. na Magórę (1366 m.) z udziałem siedmiu narciarzy. Noc z soboty na niedzielę przebyli w schronisku w Sławsku, poczem udali się turyści rannym pociągiem do Tucholi, skąd do Libuchory na Bukowiec (1171 m.) Zalesioną granią, pokrytą wcale dobrym śniegiem, dostali się na szczyt Magóry o godzinie 12 w południe. Stąd pięknym zjazdem o 350 m. wzniesieniu d stali się narciarze na przełęcz pod B kowcem. Z przełęczy zjechano do Gr niówek poczem nastąpiło przejście drc gą do Libuchory i Tuchli. Droga wy siła około 25 km. przy lekkim, dwust pniowym mrozie. Pogoda dopisała w zupełności a jasne słońce pozwalało rozległe widoki.



Fot. Inżynier Hetper we Lwowie.
W drodze na Magórę.



Fot. inżynier Hetper we Lwowie.
Przed schroniskiem.

Tej samej niedzieli o godz. 8 ranc wyruszyła druga bardzo liczna wyciecz ka, w której wzięło udział 6 pań, w stronę Wysokiego Wierchu (1245 m.) na Wołosianką.

Okoliczne góry pokryte były całkowicie śniegiem, który był zmarżnięty pokryty szrenią, — co jednak wcale nie przeszkadzało jeździe.

Chmury, które pokrywały niebo, rozeszły się koło południa i w złotych promieniach słońca kąpały się okoliczne szczyty, dając bajeczne widoki.

Część wycieczki została na Kiczerce, gdzie się odbył kurs dla początkujących — reszta zaś turystów, a tych była większość udała się na Wysoki Wierc którego szczyt osiągnięto o 2 popołu dniu. Stąd po dłuższym odpoczynku nastąpił zjazd ku Wołosiance, znanej ze swej piękności. Syci wrażeń wrócili tu ryści wieczorem do schroniska. Tego dnia zwiedzono jeszcze Zełeny Wierch, Ilsę i Pliszki.

Saski.

Lwów, 15. II. 1913.



Z TEATRU.

Gabryel Drégely: Dobrze skrojony frak.

Nihil novi sub sole — mówi łacinnik. Wszystko już było — powtarza Ben Akiba. Nie inaczej ma się rzecz z dobrze skrojonym frakiem. Przypominam sobie, że gdzieś, kiedyś czytałem dowcipną dosyć polską nowelkę, której bohater, także krawiec, dzięki dobrze skrojonemu frakowi zawdzięcza wprawdzie nie fotel ministeryalny, lecz efemeryczne powodzenie na jakimś balu ekskluzywnym i — jeżeli mnie pamięć nie myli — także serce jakiejś nader przebiernej pannicy. Różnica polega na tem, że naszego polskiego krawczyka zdemaskowano ostatecznie, podczas gdy krawiec węgierskiego autora zdołał unicestwić tyle fatalne dla siebie rewelacye haniebnie zdradzonego Sonnberga. Tamtego powodzenie skończyło się rychło, ten do dziś dnia jest ministrem i mężem milionowej żydówki...

Lecz mniejsza o różnice. Wspólny jest morał polskiej nowelki i węgierskiej farsy, a mianowicie, że dobrze skrojony frak i łut sprytu przy odpowiedniej dawce bezczelności więcej niekiedy znaczy niż funt rozumu chadzającego w szacie skromności.

Ale nie tyle o uwydatnienie tego morału chodziło autorowi, ile o wyszydzenie głupoty, marności, próżności i niegodziwości pewnej kategoryi menażeryi ludzkiej. W gruncie rzeczy farsa Drégelyego jest satyrą i to satyrą bardzo trafnie odsłaniającą dość pospolite w świecie wady i chłoszczącą je niemiłosiernie.

Zapewne, że autor operuje przesadą tak w osnowie fabuły, dość nieprawdopodobnej, jak w użyciu barw, któremi świadomie przejaskrawia charakterystykę poszczególnych figur.

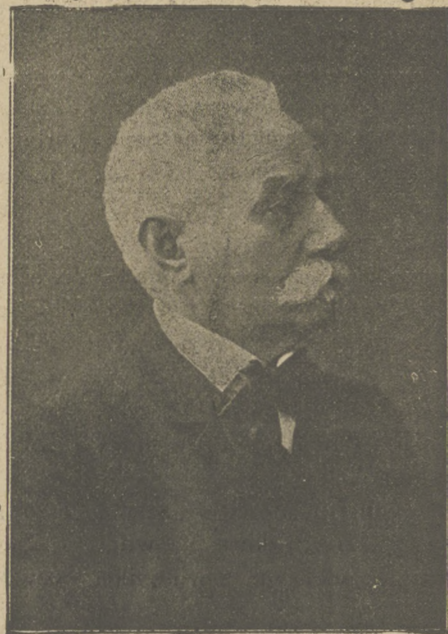
Dla autora farsy zarzut stąd jednak nie urasta. Natomiast powstaje tytuł do chwały, iż w karykaturalnej linii rysunku zaznacza dyskretnie zasadnicze rysy prawdy życiowej.

Scena końcowa z opery „Wanda"



Fot. Józef Stolski w Poznaniu.

Wobec świeżo wystawionej na scenie naszej pięknej opery Dopplera „Wanda", która bardzo małego doznała u publiczności przyjęcia, zamieszczamy rycinę, obrazującą bardzo efektowną scenę końcową z trzeciego aktu. Na pierwszym planie śmierć Timura (pp. Malawski, Szeller, Bukowski i panna Steffiówna). W tyle apoteoza Jana III.



Jan Eichstaedt
właściciel znanego zakładu konfekcyjnego w Poznaniu w Bazarze, zamianowany dostawcą nadwornym I. Ces. Wysokości arcyksięcia Karola Stefana na Żywcu.

Pod względem faktury sztuce tej nie zarzucić nie można. Są w niej charaktery prawdziwie komiczne, dużo komiki sytuacyjnej, dużo dowcipu i humoru, przytem akcya toczy się żywo i trzyma na uwięzi uwagę widza.

Przedstawienie samo prezentowało się ładnie. Szkoda tylko, że tempo pozostawiało do życzenia. Przy częstych powtórkach jednak to niedomaganie zniknie.

Gra artystów zupełnie była bez zarzutu. Palmę oddać należy p. Kindlerowi, który jako Melzer znakomicie wywiązał się z zadania. Bardzo dobre były typy żydów i żydówek w interpretacyi pp. Rylla, Mierzejewskiego, Lenartowiczowej, Morozowiczówny i Pieńkowskiej. Niezłą kreacyą był idyota-minister p. Mastalskiego (we farsach — jak wiadomo — wszyscy ministrowie są idyotami, a dziennikarze szubrawcami). Także pomniejsze role w dobrych były rękach, aby wymienić tylko pp. Adamównę, Drozdowską, Kęckiego, Kratochwilla, Kosińskiego.

Publiczność zebrała się licznie i frenetycznemi oklaskami przyjmowała tak sztukę jak grę artystów. *R.*

Nasze ryciny.

„Mały żeglarz."

Śliczną sielankę obrazuje reprodukcya albumowego obrazu: chłopczyk puszcza na wodę czołenko, a matka przy cysternie przypatruje się z zaciekawieniem zabawie dziecka. Całość na tle kwiatów i zieleni piękny przedstawia widok.

Obraz ten z czasów starorzymskich to jedno z licznych arcydzieł Henryka Siemiradzkiego, znakomitego malarza polskiego, sławnego nie tylko między swoimi, ale i u obcych. Ur. w roku 1843 w Charkowie, um. 1902; zwłoki jego spoczywają w grobach zasłużonych w Krakowie na Skałce. Chociaż Siemiradzki mieszkał za granicą i stale przebywał w Rzymie, dobrym był Polakiem i wiernym synem swej ojczyzny. Dał tego dowód wymowny i w wdzięcznej pamięci całego narodu zapisany, kiedy wspaniały swój obraz bardzo wielkich rozmiarów „Żywe pochodnie Nerona" darował do Muzeum Narodowego w Krakowie. Obraz ten, za który Siemiradzki otrzymał w roku 1878 w Paryżu złoty medal honorowy, wyobraża okrutną śmierć chrześcijańskich męczenników skazanych przez rzymskiego cesarza Nerona na spalenie żywcem. „Żywe pochodnie Nerona" były wystawione w Poznaniu przed laty trzydziestu kilku na sali gimnazyum realnego i ściągały tłumy widzów, wzbudzając podziw nadzwyczajny.

Z bieżącej chwili.



Ś. p. Dr. Schaedler, kanonik z Bambergu, poseł w parlamencie niemieckim.

Świeżo poniosło Centrum w parlamencie niemieckim dotkliwą stratę przez śmierć wybitnego swego członka, kanonika Dra Schaedlera. Zmarły należał do przywódzców partyi centrowej i był wielkim przyjacielem Polaków. N. o. w p.

* * *

KRONIKA.

Kupujmy u swego i wyroby swojskie.

— **Wiec oświatowy Towarzystwa Czytelni Ludowych** odbędzie się w Opalenicy na sali p. Liszyńskiego w niedzielę 23-go b. m. o trzy kwadranse na 12-tą w południe — w Grodzisku tego samego dnia o 5-tej po poł. na sali p. Węclewicza.

O liczny udział członków jak i przychylnych towarzystwu prosi

Komitet pow. T. C. L. na powiat grodziski.

— **Uroczystość jubileuszowa p. St. Czerniaka** odbędzie się w teatrze dnia 25-go b. m.

Pan Czerniak jak wiadomo, święci w roku obecnym ćwierćwiecze nieprzerwanej pracy na scenie poznańskiej. Widząc w teatrze tutejszym wdzięczną placówkę dla służenia sztuce ojczystej, p. Czerniak odrzucał stale wszelkie nawet korzystniejsze propozycye i został wierny Poznaniowi, z którym zżył się, który pokochał szczerze. Zżyła się też z p. Czerniakiem publiczność nasza, która, nie wątpimy, da wyrazy żywionej dlań, a zasłużonej sympatyi. Przedstawioną będzie głośna sztuka z czasów Napoleona „Pani Walewska," komedya w 5-ciu aktach. Wacława Gąsiorowskiego, Wielkopolanina, i Ignacego Nikorowicza. Dyrekcya w ocenie zasług Szan. jubilata czyni starania, aby sztuka ta wypadła pod każdym względem najwspanialej.

Reżyseruje p. Władysław Kindler.

— **Autorką wiersza** „Do matek Polek," zamieszczonego w zeszłym numerze „Pracy" na stronie 206-tej jest pani Paula Wężyk, współpracowniczka „Pracy" i redaktorka „Naszego kącika."

— **Na „Fundusz narodowy"** odebraliśmy od p. Romana Wojciechowskiego z Neubokow w Meklemburgii 1 mrk.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Na „Weteranów" z 1863-go roku** otrzymaliśmy w dalszym ciągu od p. Romana Wojciechowskiego z Neubokow w Meklemburgii 1 mrk.

Dalsze datki przyjmujemy.

— **Pokwitowanie. Pani Paula Wężyk zebrała od dzieci: Druga rata od czytelni-**

czek i czytelników **„Naszego Kącika“** w **„Pracy,“** dochód z odegranego „Wieczoru wigilijnego“ obrazka scenicznego, drukowanego na ten cel w „Kąciku:“ pp. Helena Malinowska i kórnicka dziatwa 18 mrk. 29 fen., Ziarnowska z Berlina i mała gromadka 12 mrk. 75 fen. Tykwińska z Dembna wraz z dziatwą wiejską 6 mrk. Pierwiosnek i Bogienka z Katowic 5 mrk. Za pośrednictwem p. A. Graczyka z Gelsenkirchen dzieci z obczyzny 4 mrk. i mała gromadka pp. Skąpskich z Gąsawy 3 mrk. 25 fen. Dochód z odegranych Jasełek przez dzieci dworskie i wiejskie w Kuśnierzu 10 mrk., Maryś, Czesio i Ignaś Woźni z Kostrzyna zebra... kolendując 8 mrk. 50 fen., Pasikonik ze Śródki za wypowiedzenie wiersza otrzymaną 1 mrk. z radością przysłał dla staruszków. Gromadka Górnoślązaków w czasie świąt zebrała 1 mrk. Drobne oszczędności ze szkatułek dzieci: Ania, Zbyszek i Halka Borowscy ze Strzałkowa 6 mrk. 30 fen. M. Wnukówna z Gleszczonek 3 mrk., szarotka, podrożniczek i bławatek z M. 2 mrk. Edmundek, Wiktorek i Felcia Tomaszewscy z Pleszewa 1 mrk. 50 fen., Halszka Lewandowska z Wrześni 1 mrk. 5 fen. Witoldek i Zbyszek Jachimowicze z Kościelca 1 mrk., Helcia Cicha z Neukölln 1 mrk., Czarny Rycerz i Biały Orzeł z Inowrocławia 1 mrk. i przyjaciółka z kącika 1 mrk. Poprzednia rata wynosiła 42 mrk. 60 fen., obecna 87 mrk. 64 fen, razem 130 mrk. 24 fen. zebrały dzieci dla weteranów z 1863-go roku.

— Wielka wystawa krakowskiej „Sztuki“ w salonie przy placu Wilhelmowskim 14 a jest niewątpliwie wybitnym momentem w naszem życiu kulturalnem. Nie może się wobec niego obojętnie zachować nikt, ktokolwiek interesuje się polską kulturą artystyczną i kto pragnie podźwignięcia się poziomu kultury duchowej w Wielkopolsce. To też szeroką falą napływać powinny rzesze gości, zwiedzających wystawę „Sztuki,“ która do skutku przyszła z inicyatywy Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych, a za zgodą Stowarzyszenia Artystów w salonie Stowarzyszenia.

Wstępne jednorazowo dla członków obu organizacyj 50 fen., zresztą 1 mrk., a dla młodzieży 25 fen. Karty miesięczne dla członków obu organizacyj 1 mrk. od osoby, zresztą 2 mrk. od osoby, dla młodzieży 50 fen.

— Związek Fabrykantów na Rzeszę niemiecką z siedzibą w Poznaniu.

Roczne Walne Zebranie Związku Fabrykantów odbędzie się w czwartek dnia 27-go lutego b. r. o godzinie pół do 5-tej w Resursie Kupieckiej w Poznaniu, św. Marcin 68.

Porządek obrad:

1) Zagajenie. 2) Sprawozdanie sekretarza. 3) Sprawozdanie kasowe. 4) Sprawozdanie komisyi rewizyjnej. 5) Badanie sprawozdań i udzielenie pokwitowania Zarządowi. 6) Wybory Zarządu i komisyi rewizyjnej. 7) Ew. zmiana ustaw i sprawa rozwiązania Związku. 8) Oznaczenie miejsca i czasu do następnego Walnego Zebrania. 9) Wolne głosy.

Zarząd Związku Fabrykantów.
Stefan Cegielski, prezes. **Dr. M. Kryzan,** sekr.

Nekrologia.

† **Ś. p. Jan Kantak,** ojciec ks. dra Kamila Kantaka z Poznania, zakończył w niedzielę, dnia 16-go b. m. żywot doczesny wskutek ciężkiej choroby sercowej w Trzemesznie w 60-ym roku życia. Z zawodu agronom, w ostatnich latach czynny był jako dyrektor Rolnika w Trzemesznie. Nieboszczyk odznaczał się niezwykłą pracowitością i sumiennością, to też zaskarbił sobie szacunek i sympatyę wszystkich tych, którzy go znali. Bolesną stratą dotkniętej rodzinie wyrażamy szczere współczucie. — **Ś. p. z Wyczyńskich Helena Szymańska,** wdowa po ś. p. dr. Romanie Szymańskim, założycielu i redaktorze „Orędownika,“ zmarła dnia 13-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 58. Nieboszczka odznaczała się skromnością i bogobojnością, była prawdziwą podporą i osłodą męża w trudach życiowych i wzorową matką. Ojcem jej był znany i szanowany syndyk konsystorski ś. p. Wyczyński. Bolesną stratą dotkniętej rodzinie składamy wyrazy szczerego współczucia. — **Ś. p. z Lewickich Maryanna Brejska,** matka byłego posła i wydawcy „Gazety Toruńskiej“ p. Jana Brejskiego, zakończyła żywot doczesny dnia 5-go b. m. przeżywszy lat 73. Pogrzeb odbył się dnia 10-go b. m. w Pączewie w Prusach Królewskich. Żałobą dotkniętej rodzinie wyrażamy szczere współczucie. — **Ś. p. Wanda z Paliszewskich Grabowska** z Zbietki, zakończyła dnia 10-go b. m. nagle życie w Zakopanem skutkiem nieszczęśliwego wypadku, w 28-ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 15-go b. m. w Podlesiu Kościelnem. Nieszczęściem tem ciężko dotkniętej rodzinie wyrażamy szczere współczucie — **Ś. p. Roman hr. Morstin,** dnia 8-go b. m. w 55-ym roku życia w Kobylnikach w Królestwie Polskiem. Zwłoki złożono w grobie familijnym w Krakowie dnia 11-go b. m. — **Ś. p. Telesfor Palędzki,** kapitalista z Gniezna dnia 17-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 42 lata. Pogrzeb odbył się dnia 20-go b. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. z Polczyńskich Ewa Dzidek,** dnia 15-go b. m. w Winiarach pod Poznaniem, przeżywszy lat 37. — **Ś. p. Michał Biały,** dnia 16-go b. m. w Zaniemyślu, przeżywszy lat 43. — **Ś. p. z Girnatisów Władysława Dobrowolska,** dnia 16-go b. m. w Krzywiniu. — **Ś. p. z Szymańskich Wanda Kalinowa Kalinowska,** wdowa po weteranie z r. 49 i 63, dnia 17-go b. m. w Poznaniu na Wildzie. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— Panu profesorowi M. J. w Poznaniu. — Notatkę o odczytach otrzymaliśmy już po wydrukowaniu zeszytu na ubiegłą niedzielę, więc zamieścić nie mogliśmy.

— Panu K. D. w P. — W księgarni K. S. Jakubowskiego we Lwowie lub w innej lwowskiej księgarni Altenberga, Połonieckiego itd.

— Pani Z. D. w L. — 1) Było tyle rozwiązań trafnych, iż dla braku miejsca nie zamieściliśmy długiego spisu osób, które nadesłały dobre rozwiązania. (Patrz nr. 7-my „Pracy“ — strona 217). Zresztą wierszyk Szan. Pani był tak słaby, że nie nadawał się do zamieszczenia w „Pracy.“ — 2) Co do wierszy musimy je wpierw przeczytać, a potem doniesiemy, czy się kwalifikują do druku, prosimy więc o nadesłanie.

— „Ave.“ — Wiersza nie zamieścimy, bo nie uwzględniamy anonimów. Wobec redakcyi należy zawsze wystąpić z otwartą przyłbicą.

— Panią Katarzynę B. z pod Środy prosimy o przysłanie fotografii uczestnika powstania pana Ludwika M. z Kozubca, a chętnie notatkę o nim zamieścimy.

Reklamy.

— W pensyonacie p. drowej M. Kołodziejowej, dypl. nauczycielki w Poznaniu przy ulicy Zielonej 7. II., są od kwietnia r. b. miejsca wolne dla panienek kształcących się. Bliższe szczegóły w ogłoszeniu, na które zwracamy baczną uwagę rodziców i opiekunów.

— Zwracamy Szanownym Czytelnikom uwagę na anons firmy **T. Siewicz w Poznaniu** (ul. Półwiejska 17.) Firma ta zgłosiła do urzędu patentowego orła ratusza Poznańskiego (polski orzeł w wieku 18.) jako znak ochronny na wyroby tytuniowe.

Mimo wielkich kosztów i trudów, podjętych przez firmę T. Siewicz, nie chciał urząd patentowy zatwierdzić orła tego jako znaku ochronnego. Z powodu tego był p. Siewicz zmuszony zmienić opakowanie swoich papierosów, na co Szan. Czytelnikom zwracamy uwagę. Firma T. Siewicz poleca swe papierosy jako wyrób polski.





Z dziedziny mody.

Nowe kostyumy i suknie wieczorowe.

Wiosna za drzwiami i mistrze mody paryskiej łamią sobie głowy nad wynalezieniem czegoś nowego, niebywałego!

Niebywałego nic pewnie wymyślić nie zdołają, bo *wszystko* już było, lecz mogą to i owo zmienić, przekształcić i nadać całości charakter *du dernier cri de la mode!*

Przedewszystkiem jest wszędzie widoczną dążność do *umiarkowania*. Kostyumy i tualety wieczorowe są strojne, szykowne, nawet podpadające krojem i kolorami, a pomimo to wyglądają wytwornie i dalekiemi są od karykatur, jakie się spotykało dotychczas. Jakie trudności musieli mistrze mody zwalczać, to pojmie tylko ten, kto zna Paryżanki i zamiłowanie ich w ekscentrycznej elegancyi. Zupełnie nowe modele widzimy na załączonych rycinach.



Modna suknia promenadowa.

Ładna suknia promenadowa składa się z popielato-zielonego pluszu i oszycia srebrnej koronki oraz pasów sobolich i gronostajowych. Spódniczka sięgająca aż do nóg jest średnio wązka, rękawy rozpoczynające się jak kimono, złączone są poniżej łokcia, na trzyćwierć długości, mankietami z renwersem. Długi kaftanik jest wytworem ostatniej mody: szeroki, prosty pas pomiędzy biodrami a kolanami nadaje mu charakter nadmody. Jest to rzeczywiście efekt nadzwyczajny, lecz na taki kaftanik mogą sobie pozwolić tylko kobiety młode, wysokie i bardzo szczupłe. Wysoki kołnierzyk z futra sobolowego i gronostajowego zapina się z boku, aksamitny zaś kapelusz, albo raczej czapka, ozdobiona wielkiem skrzydłem białego rajskiego ptaka, opuszcza się nizko na czoło i uszy, obejmując twarz miękką, ciemną ramką.

U wieczorowej sukni wygląda podpięcie panierowe okrągłej spódniczki powyżej kolana bardzo ładnie. Suknia ta z ciemno-niebieskiego matowego, jedwabnego brokatu, składa się z spódniczki z wysokim gorsecikiem i z kaftankowej bluzki, lekko wyciętej i zakończonej białym przodkiem. Całość wywiera wrażenie wielkiej elegancyi i szyku. Kapelusz z ciemno-niebieskiego, aksamitnego filcu z podniesionym wązkim brzegiem i tz. rajerkiem jest prawie więcej niż skromny, fryzura również zupełnie jest prosta, włosy nizko po bokach spuszczone i w grecki związane węzeł.

Bardzo piękną i dystyngowaną tualetę wskazuje suknia princesse. Suknia oszyta jest u góry szerokiem, czarnem tiulowem bandeau, spiętem na boku bladoróżową, wielką różą. Czterokątny wykrój stanika jest obecnie najmodniejszym tak samo i rękawy z podwójnego jedwabnego muślinu, bez podszewki. Dobre rozcięcie spódniczki, obejmującej jak futerał całą postać, ukazuje wypełnienie, czego dotychczas nie było. Suknia jest z białego jedwabiu, zahaftowanego czarnemi i białemi perłami, wypełnienie zaś rozporka tworzy srebrno-popielate liberty. Włosy zaczesane na sposób grecki ozdobione są sznurem pereł i z boku czarnym rajerkiem.

Wszystkie te tualety są piękne, eleganckie i modne, lecz ujemną ich stroną jest: ogromna cena! Kto nie rozporządza tysiącami dla swej własnej osoby, nie może ani nawet marzyć o kupowaniu takich sukien — mieć jedną — to nic, albo ubierać się zawsze u Poireta, Paquina i t. p., albo wcale nie w Paryżu.

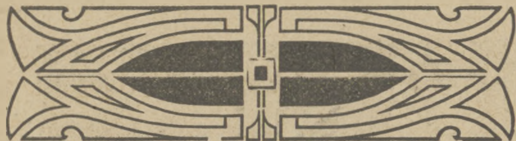


Modna suknia „princesse."

Ale można brać wzór z wspaniałych modeli i patrzeć z przyjemnością na żurnale mody. To w każdym razie jest najtańsze!

Paryżanka.





Jaksowie.

(Opowiadanie z czasów króla Bolesława Chrobrego.)

Za czasów wielkiego króla Polski, Bolesława Chrobrego, (który objął panowanie po śmierci ojca swego — Mieczysława) wsławiła się bardzo rodzina Jaksów. Ród to był stary, od lat wielu posiadali Jaksowie sporo ziemi nad rzeką Odrą, nie gnuśnieli jednak w dostatkach, a razem z królem Bolesławem, szli na wojny, rozszerzać granice Polski. Po zdobyciu przez króla Kijowa, wrócili Jaksowie do swych włości, starsi wypoczywali, młodsi do gospodarki się wzięli, jeno Jurga i Andruszka Jaksowie zamiast pracować — bez opamiętania hulać zaczęli i tak na próżniactwie i hulaniu spędzili lata.

Nieraz donoszono o hulaszczem życiu młodych Jaksów, ale Bolesław rad, że tyle ziemi dla Polski zdobył, wdzięczny był Jaksom za męstwo okazywane na wojnie i nie strofował ich surowo.

Tymczasem, choć Jaksowie odziedziczyli po ojcach wielkie bogactwa, hulaszcze życie zrobiło, że przyszła chwila, kiedy im złota braknąć zaczęło, a niedostatek zajrzał w oczy. W takiej chwili czart zawsze rad skorzystać, człowieka do złego pociągnąć i zgubić, a wszak najłatwiej, to uczynić przez pokusy i namowy.

We dworze Jurgi i Andruszki był Niemiec, człowiek chytry i na pieniądze łasy. Umiał on zyskać zaufanie swych panów i dobrze się już przy nich obłowił. Widział też jak bogactwo Jaksów topnieje niby śnieg marcowy i rozumiał, że i jego to strata. Pewnego wieczora gdy bracia siedzieli sami w świetlicy, wsunął się Niemiec pocichu i niby od niechcenia zagadnął:

— Słyszałem, że temi dniami przez pańskie lasy przejeżdżać będą kupcy z Kijowa, wiozą oni skarby wielkie... Ot uderzyćby na nich, a na ziemię polecą, jak żołędzie, żaden i palcem nie kiwnie.

— Zła to sprawa — Niemcze — mruknął Jurga.

— Czemu zła — kusił dalej Niemiec. — Niechby miłościwi panowie pojechali do nas, do niemieckiej ziemi, zobaczyliby jak tam najwięksi panowie tak się zabawiają! Kupcy zdzieracze, łajdacy, na wilka czy na nich polować — wszystko jedno.

Na nic, jednak, nie zdało się tego wieczora, niemieckie kuszenie. Ale nazajutrz, Niemiec zaczął znów swoje, że to niby pańskie mosty i pański las i pańska droga, toć okupu żądać od kupców można. Jakoż, choć sprzeczano się i wahano, późnym wieczorem postanowiono pojechać tak, jeno zobaczyć...

Północ już była, gdy pod lasem o parę staj od wsi napotkano kupieckie wozy. Pierwszy Niemiec zawołał gniewnie do kupców, żądając okupu. Zaczęło się z obu stron łajanie, poczem Niemiec ujął miecza, co widząc, kupcy dobyli broni, a wówczas i obaj Jaksowie nie mogli już ścierpieć... Poczęto się bić, a że kupcy i pachołkowie ich niewprawnie mieczem ruszali, ocaleli ci tylko, co do lasu zbiedz zdołali, reszta zginęła.

Wnet po skończonej utarczce począł Niemiec poszukiwać pozostałe bez właścicieli kupieckie wozy. Były tam skarby wielkie, a w ubraniu zabitego kupca znaleziono dwa trzosy pełne złota. Cieszył się Niemiec, że mu się niemało z tych bogactw dostanie, radowali się i Jaksowie, uważając, że słuszne jest, by te skarby niczyje teraz, sobie zabrali; że będzie dalej za co hulać i próżnować.

Minęło trochę czasu. Hulali Jaksowie, ale nie imała się ich wesołość, a niepokój trawił, i zabójstwo kupców ciążyło na sumieniu.



Modna suknia wieczorowa.

Tymczasem, pewnego dnia, Niemiec, doradca Jurgi i Andruszki zbiegł, zabierając ze sobą wiele złota i skarbów, a wnet potem przyjechał poseł królewski, Drogosz, by zawiadomić Jaksów, że król wie o ich zbrodni i wzywa do siebie na sąd.

— Król zły...zaprzysiągł, że nie przebaczy, — mówił Drogosz wzdychając. W milczeniu słuchali tego Jurga i Andruszka, wiedzieli, co ich czekało. W duszy Andruszka pragnął jeno ocalić Jurgę, a Jurga myślał jakby Andruszkę wyswobodzić. Postanowili też szukać w tem pomocy u Drogosza.

— Słuchaj Drogoszu — odezwał się

Jurga — Andruszka nic nie winien, jam starszy, jam mu iść kazał...

— Nie słuchaj go — przerwał bratu Andruszka — to ja pierwszy dałem się Niemcowi zwieść, Jurga poszedł za mną, nie ja za nim.

I tak sprzeczać się zaczęli, ale Drogosz, któremu żal było młodzieńców, ręką machnął i rzekł.

— Jam nie sędzia; królowi powiecie, jak się rzecz miała.

Wyruszono w drogę i w niespełna miesiąc Jaksowie stanęli przed królem. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl zapierać się uczynku, przyznali się po żołniersku do tego, co popełnili.

Napróżno pospieszyli do króla zasłużeni rycerze, krewni Jaksów, i możni przyjaciele ich, napróżno kapłani błagali Bolesława o miłosierdzie dla nierozważnych młodzieńców — król srodze rozsierdzony na postrach innym Jurgę i Andruszkę ściąć kazał.

— — — — — — — — —

Minęło wiele dni. Pewnego dnia, przed wieczorem, z komnaty żony królowej Emunldy, powychodziły dworskie panie, została jeno sama królowa, naradzając się po cichu ze spowiednikiem swym, księdzem Aronem.

— Miłościwa Pani — mówił sędziwy kapłan — przychodzi chwila kiedy trzeba, abyście wyznali królowi, że Jaksowie nie zginęli, bo wyście pokryjomu wywiedli ich z więzienia i ukryli. A możecie powiedzieć to tak, że król nie tylko nie będzie gniewny, ale za ten dobry uczynek jeszcze wam dziękować będzie. Co dnia więcej żal mu Jaksów, chłopcy to byli poczciwi, a źle czynili, bo w młodzieńczym wieku bez opieki zostali. Królowi żal, że stracił w nich dzielnych rycerzy, a i cała liczna rodzina Jaksów, zażalona na króla za zgubę Jurgi i Andruszki.

Jakoś wkrótce po tej rozmowie, na dworze królewskim wyprawiano ucztę. Mówiono o nowej wyprawie na wojnę, o rycerzach, którzy z królem pójdą, wspomniano i o Jaksach.

— Niema dnia — ozwał się król — żebym nad losem Jaksów nie bolał, straciłem w nich dzielnych rycerzy, gniew jest złym doradcą, z duszy bym rad módz naprawić com uczynił, ale co się stało nie odstanie.

— A cóżbyś, miłościwy Panie uczynił, gdyby tak zmartwychwstać mogli? — zapytała królowa.

— Cóżbym uczynił — odpowiedział król. — Ojcowską ręką wyliczyłbym im trochę batów za nierozważne, lekkomyślne słuchanie podszeptów niemieckich, a potem przebaczyłbym, bo wierzę, że skruszeni, staliby się odtąd dzielnymi ludźmi.

Królowa zadumała się dziwnie, a



Smutna dola. [redacted]

gdy po chwili wstano od stołu, wymknęła się coprędzej i posłała do klasztoru, gdzie Jaksów ukryła, rozkazując by się natychmiast stawili.

W kilka godzin później król, otoczony dworzanami swymi, zajęty był rozmową, gdy wtem posłyszał zbliżające się kroki kilkunastu ludzi a za chwilę stanęła przed nim królowa, prowadząc Jurgę i Andruszkę. Za nimi szli krewniacy i przyjaciele Jaksów, by paść do nóg królowi.

— Panie mój i królu — wyszeptała królowa — proszę Cię o miłosierdzie dla tych dwóch winowajców i dla siebie, któram ich przed gniewem twym ukryła... Bądź nam miłościwy!...

Król zdumiał... powstał, a wzruszony ucałował rękę królowej. — Podnieście się — rzekł do Jaksów — niech przeszłość idzie w zapomnienie. — Zmażecie ją dobrem życiem i wierną służbą Ojczyźnie! A tobie miłościwa małżonko moja, wdzięczny za ten dzisiaj, dzień wesela.

Obaj Jaksowie, wróciwszy do zagród swoich, zasłynęli, jako zacni, uczynni i prawi ludzie. A gdy trza było z królem iść na wojnę, pospieszyli ochoczo. Króla Bolesława, że był mężny, a sprawiedliwy choć surowy, za wojny chwalebne i przysporzenie Polsce wiele ziemi — *Chrobrym nazwano.* *M. — „L. B.“*



Suty pogrzeb.[*)]

Trumienkę miała malowaną
Z desek sosnowych,
Wiązankę jej słomy pod głowę dano
Z kłosów żytniowych.
W daleką podróż, wychudłe z nędzy,
Okryto ciało
W zgrzebną koszulę z domowej przędzy
I chustę białą;
Szkaplerz na szyję i krzyżyk czarny...
Z ziemskiej chudoby
Więcej nie wzięła w obwód cmentarny
Pomiędzy groby.
Za trumną nie szli blizcy —krewniacy
Żaden z sąsiadów...
I tak samotna z rodzinnej wioski
Poszła niebogа,
Niosąc łzy swoje, żale i troski
Do stopni Boga!
Nikt nie zapłakał biednej sieroty,
Rodzic ni macierz,
A tylko lipy zielone sploty
Zmówiły pacierz.

*) Powyższy, głęboko odczuty wiersz napisał zmarły w Warszawie w zeszłym miesiącu Kazimierz Laskowski już bardzo dawno, bo zgórą lat temu 20.

A brzóz cmentarnych płaczącej kosy,
Nad jej mogiłą,
Wiatr strącił kilka kropelek rosy,
A łez... nie było!

. . . .

O daj mi, Panie, po dniach pokuty,
Ziemskiej tułaczki —
W rodzinnej wiosce pogrzeb tak suty
I takie płaczki!
Trzy łokcie ziemi niech mi wyznaczą,
Dziad grób wybierze —
Cmentarne drzewa niechaj zapłaczą,
Zmówią pacierze...
Więcej nie pragnę! Cóż z ludzkich żali?
Po co łzy bliźnie?
Byle — mogiły mi nie sypali
Hen, na obczyźnie!
Bo jabym... w grobie tęsknił za swemi,
Za rajskiem echem,
Grzeszył miłością ojczystej ziemi,
*Jeśli to grzechem.**)*



Z litewskiego Olimpu.

I.

Pierwsza gwiazda.

Litewska ziemia ziołami wonieje, z łąk, lasów i borów jak w przestrzennej kadzielnicy leciuchnemi kłębami woń u stóp bóstw się waży. Ziemia wyraża cześć niebu. Stąpmy gromowładny Perkunie tym mlecznym szlakiem w obszary plemienia ludzkiego, w państwo naszej władzy. Jakożeś w nocy bezmiesięcznej przyobiecał, gdyśmy na stos ofiarny patrzeli, który podziemnemu Poklusowi płonął i czarnym dymem w ziemię wsiąkał, aby bóg piekieł tamże doznał hołdu. Przyobiecałeś gromowładny, że zstąpimy. Niech Krywekrywejte bram wchodowych strzeże, aby żaden posłaniec germańskiej walhali nie wkradł się w siedlisko bogów litewskich podstępem i aby gotów był przyjąć łaskawe spojrzenie lechickiego Światowida lub ugościć Hermesa, posła greckich bogów, którego nadboski Apolin czasem z pozdrowieniem przysłać raczy. Wszechwładny Perkunasie, pomny przyrzeczenia, usłysz łaskawie prośb moich.

Tak mówiła Milda, bogini miłości, groźnemu gromowładcy, który na znak zgody zagrzmiał potężnie. Potem skinął łaskawie bogini Mildzie, co znaczyć miało, że gotów do drogi.

— Wszechwładny Perkunie, zabierzmy Potrymbosa i Ziemiannika, mogą nam się przydać — jako, że z ludźmi obcują często.

Perkun znów zagrzmiał na znak zgody.

Wszyscy zaczęli spuszczać się powoli ku nizinom. Perkunas grzmiał ustawicznie, aby dać znać ludzkiemu plemieniu, że zstępuje na ziemię, aby swój gniew lub łaskę okazać. Był przy tej robocie wielce zamyślony, bo i z gniewem i z łaską zstępował. Ciskał więc z mocą błyskawice i gromy, choć równocześnie słońcu wstawać kazał, aby nic, co się na powierzchni ziemi działo, nie uszło jego uwagi. Jako wszechwładnego moc jego sięgała i pod ziemię, lecz tam mieszkał zachłanny duch piekła, który podziemia swem królestwem nazwał.

— Wszechwładny, zcisz gromy, — odezwała się słodko Milda, — Poklus posłyszy cię i zaprzestanie działania, a masz się przekonać jak tchnienie miłości, którem ludzi darzę i obdzielam, niszczyć potrafi.

— Jako urodzajne plony jadem zatruwa — wtrącił Ziemiannik.

— I jako mą pomoc w zabiegach ludzkich w puch rozsypuje, — zawtórował Potrymbos.

Perkun zagrzmiał raz jeszcze.

— Wszechwładny zcisz gromy powtórzyła Milda.

— Dobrze boskie dziecię, uciszam gromy — w piersi własne chowam, a błyskawice w źrenicach mych topię. Taką mam moc w sobie. — Jako, że oczom ludzkim niewidzialny stroję się w obłoczki, chmurkami przeplatam i tworzę kształt, czyńcie podobnie, dzieci moje drogie.

— Nam szat dopiero na ziemi poszukać — odparła Milda. — W sercu mem boski płomień gorze jako i bracia twoim przejęci. Nie jako tobie nam tkać z obłoczków i błękitnego firmamentu szaty, my wzywamy przyrodę, aby odziała nasze duchy młode.

— Bliźcyśmy ziemi — szepce z cicha Perkun. — Widzę, że dzieło moje czarem piękne. Pierwszy zstępuję wśród obłoczków lekkich tak bezpiorunny jak przed owym czasem, gdym razem z bytem człowieczym wykrzesał grom — błyskawicę. Zdumiony byłem wonczas własną mocą, czułem przeogromną miłość już zdawna, a że nie było kogo nią obdarzyć, stworzyłem ludzi, ziemię, bóstwa dobre, aby im mocy i serca udzielać, które mnie rozpierały. Dlategom stworzył wszystko co widzicie, aby wśród wszechświata siebie rozdzielać, a jednak całości istoty swej nigdy nie zmniejszyć, jeno wciąż jeszcze wyrastać w swych tworach. Miłuję wszystko, com tylko stworzył i pragnę żyć w każdej najdrobniejszej rzeczy. Chciałbym ja darzyć wszystko nieskończenie, lecz moc mą teraz objawiam w gromach i gromowładnym wy mnie jeno znacie, bom się rozdzielił boskiemi przymioty między was, drodzy. Lecz wy aż dotąd mieszkacie wciąż we mnie, jam mocen wielce, żywię was i ogromy siły w gromach ujawniam. Możebym nigdy nie obrał tych znamion błyskawicowo-gromowych, gdyby nie Poklus. Jam go przeczuwał, wiedziałem przed wiekami, że się spanoszy; twoją Mildo pracę on utrudnia. Ziemiannika i Potrymbosa działalność błogą psotami bezcześci.

— Ukarz go Perkunie — odparł na to trójgłos.

Smutek się odbił w obliczu wszechboga.

— Poklus był dawniej jak wy, dobrym duchem, miał być radością świata, wietrzykiem swobody, lecz gdy świat cały przebieżał w krąg, chciało się jemu nurtować pod ziemią. Choćżem go przestrzegł, że tam ognia świat, że go płomienie wchłonąć, spalić mogą, to on poznawszy swą moc wszechobrotów zaciężył w dole, w ogniach się zanurzył i chciał moc swoją przeciwważyć mojej. On chciałby zalać świat ogniem — pożogą, ale nie może, bo moc moja gromi i błyska — czego on nie zdoła. Więc żąda ofiar po wszej litewskiej ziemi, zwodzi kapłankę Marti, chce, by się jemu święty żnicz płomienił, który jak pamięć dobrych bóstw nie gaśnie u wiernego ludu. On chce dla siebie zgarnąć wszechpłomienie.

— Ukarz Poklusa, wszechwładny Perkunie!

— Słuchajcie dzieci nie chcę go karać, bo on powstał ze mnie. Mógłbym go zmiażdżyć, uśmiercić do woli, lecz równocześnie miażdżyłbym lub uśmiercał część własnego ducha. A wiecie — we mnie nic umrzeć nie może, bom się nie rodził, bo ja trwam odwiecznie. We mnie początek z końcem się splata w krąg nierozerwalny. Ze mnie ludzkość cała bierze początek i po życia drodze ma dojść znów do mnie i we mnie znaleźć szczęścia zdroje. Bo tylko cielesna powłoka więdnie i umiera, a wszechduch żyje ciągiem nieprzerwanym.

Na to odrzekła Milda: — Z miłości dałeś część ducha ludziom i przeto pragniesz, by ich byt był w tobie, o wielki i straszliwy boże.

— Tyś Mildo duchowi memu najbliższą, dusza i postać twoja wykwitły z o-

**) Taka była ostatnia wola poety jeszcze przed laty, ale spełniono ją tylko w części, bo społeczeństwo polskie niewdzięcznem być nie umie. Ułożono zwłoki poety na wieczny spoczynek, nie dano jednak posłuchu życzeniu, aby nikt po nim nie płakał. Przeciwnie, żal serdeczny szedł za trumną, kryjącą na wieki zamilkłą lirę, której struny poruszało serce, każdą kroplą krwi swojej przywiązane do ziemi ojczystej, która ludziom niosła i łzy, z niedoli tej ziemi czerpane, i uśmiechy promienne, brane z niezachwianej wiary w lepsze jutro.



W szynkowni.

gromu miłości mojej. Choć cierpisz, niech skarga obcą tobie będzie. Poklus zbruka cię w oczach ludzi, lecz ty po wszystkie wieki czystą pozostaniesz.

— Chcę czystą zostać jako blaski twych błyskawic, które błyszczą w twoich Perkunie oczach. — Pozwól mi teraz w wianki róż leśnych się stroić, w leszczynę z jagód przepaską, bo taką mnie lud litewski zna i miłuje. Spojrzyj gromowładny, oto zdala biegnie krasawica Egle, stroskana, łzą szklą się jej oczy, a czoło chmurzy posępna zaduma.

Prędko Potrymbos rozlał ze źródełka potok kryniczny, a Ziemiannik jagody leśne pocierał, aby prędzej dojrzewały. Jako gdy ziemska Egle między drzewami przystanęła, potok przed nią perlił się i szumiał, a dojrzałe jagody dopraszały się łaski zerwania i spożycia.

Bogowie z nieba jako, że wszechmocni, stali się dla niej niewidzialnymi. — Dziewczę przystanęło nad potokiem i przechyliwszy się nad tonią wód szemrzących, szeptało:

— Strumyku czemuś płytki i zbyt wązki, czemu łożyska podkład twardy, a nie grzązki, czemu zwierciadlisz jutrzenkę świetlaną, oj nie utulisz dziewczynę stroskaną, kresu nie dadzą twe źródlane wody. I wy z śmiejącem obliczem jagody, czemu w was jadu nie ma ani kropli, by mnie na wieki uśpić w tej nieszczęścia porze, kiedy me serce ciosu znieść nie może.

Milda stając nagle przed nią w pełnej krasie spieszyła z pocieszeniem. Lecz Egle nie pożądała tego.

— Daj mi śmierć tylko, — błagała.

— Czy tak źle na świecie?

— Lutasa zła spętała moc, a mnie z nim wiąże moc kochania, lecz dobry duch, co we mnie tli, serce mu oddać wzbrania. Połową już ku ciemniom ciążę, drugą połową w błękit dążę i sama się rozdzieram w pół, rwę się do słońca, —ciążę w dół! Takiego życia straszne pęta, więc śmierci szukam dookoła, w dół do Lutasa wiedzie dróżka kręta — a w górę mnie głos bogów woła.

Na to Perkunas ujawniając się w obłoków szacie odezwie się do zatroskanej Egli:

— Wiedźże nas krasawico młoda tą krętą ścieżką w dolinę, może jeszcze umiłowanego przez ciebie Lutasa uratujemy.

I wiodła Egle bogów w chram Poklusa. Perkunasowe czoło na to spochmurniało, choć bezpiorunny straszny stanął ponad czeluścią ognistą i ujrzawszy Lutasa w szponach Poklusa zagrzmiał głosem potężnym:

— Ty biedna Egla nie miłuj Lutasa, on w mocy Poklusa, który z świata żaru i ognia przez palenie ofiar piekłem czyni, bo dusze zagrabione piecze. Poklusa klnę po wieczne czasy, niech swój zachłanny zawód sprawia, choć ofiar zbierze ilość wielką, żądzy swej nigdy nie nasyci. Przekleństwo moje nad nim zaciąży i ciążyć będzie wiecznie nad nim i nad ofiarami jego.

I odstąpił od parowu czeluści.

A Egle poznawszy bóstwo rzekła:

— Wszechmocny boże, nie miłuję Lutasa, kiedy na wieki przeklęty.

— Nie miłuj go, bo nieskończoną miłość znajdziesz we mnie.

— I żyć nie pragnę, skoro cię poznałam.

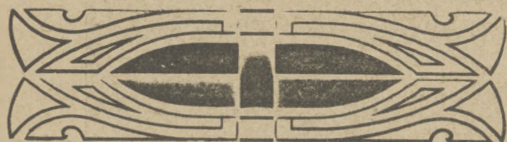
— Gwiazdą cię uwieszę na firmamencie, o Egle ziemiańska, i odtąd przyjmować będę dusze szukające odwiecznej miłości do królestwa mego. Ty Egle od zachodu słońca do wschodu tegoż patrzeć możesz w te stare bory litewskie i oświetlać drogi żyjących współbraci twoich, którzy wśród ciemności nocy błądzą. Mildo, Potrymbosie, Ziemianniku strzeżcie Litwy ukochanej i zamieszkajcie pomiędzy wiernymi. Walczcie z Poklusem o dusze ludzkie, ja was wspomagać będę.

I gromowładny uniósł się wraz z Eglą w podniebne przestworza.

Po zachodzie pięknie błyszcząca gwiazda przyświecała pracy Mildy. A Poklus się zrzymał, chciał gwiazdę zgasić, lecz moc go zawiodła, unieść się nie zdołał, jeno grzęznął w czeluście piekielne. Wściekły postanowił wszystkie dusze ludzkie zagarnąć dla siebie.

Zagarniał je odtąd dla siebie, lecz i mnogo gwiazd przybywało na niebie.

Jula Męcińska.



Hygiena.

Czarne paznokcie.

Hygiena zrobiła wielkie postępy. Niezawodnie! Mamy o niej dokładniejsze pojęcie. Pamiętamy więcej o jej nakazach. Wskazówki hygieny stają się coraz bardziej potrzebą i nałogiem życia naszego. Znać to w kuchni i w sypialni. Wszystko czyściejsze — od jedzenia aż do powietrza.

A jednak! Jest jedna dziedzina, w której nie postąpiliśmy niemal wcale — brud za paznokciami! Siedziba najzawziętszych wrogów naszego zdrowia i życia.

Kucharze i kucharki nasze noszą czyste fartuchy i koszule, kładą białe czepce na włosy, ale zobaczcie ich paznokcie!

Gromadzą się za niemi wszelakie trucizny, jaja pasorzytów przeróżnych, Bóg wie, ile zgubnych, wstrętnych mikrobów.

Gdy badacze wyliczać zaczną rodzaje bakteryj zgubnych, chorobotwórczych, hodowanych samochcący za paznokciami — mdło się robi. Najzuchwal-zy lekkomyślnik musi zadrżeć ze stra- Bez liku: stafolokoki, strepsokoki, b- -ółte, sarciny białe, jajka o-chu. -ka soliterów i t. d. A bakterye -roźniejsze nieraz od xeuresów, jaj- wszystko potęgi, g- z zachwy-cholery i tyfusu. -h rącz-

Mówi się w powieściach -ze! tem o pięknych, wypieszczonyc- kach margrabin i księżniczek — dob- Ale ważniejsze dla zdrowia i szczęścia naszego mają znaczenie ręce kucharki.

Ileż to razy widzimy bolesną rozpacz matki po stracie dziecka. Przeklina lekarzy, bluźni Bogu, wyrzeka, iż nie ma sprawiedliwości na świecie, pyta w rozpaczy Niebios, co zawiniło niewiniątko, że je ukarano śmiercią, na co komu było potrzebne wydarcie jej pociechy i t. d.

A to ona sama winna, ona jedna — nie czyściła dziecku paznokci. Sama hodowała chorobę, bo zostawiła wroga, którego tak łatwo było usunąć i ocalić życie dziecka.

Więc... czyśćmy paznokcie. Nietylko czyśmy sami, ale starajmy się, aby wszyscy koło nas czynili to samo.



Bądź mi Aniołem.

Aniele mój, bądź mi aniołem,
Jaką Cię w pierwszym zachwycie
Na całe życie
Mym duchem pojąłem...
Jasną, przeczystą, bez skazy, bez cienia.
Bądź niebiańskiego promienia
Złocistem nademną kołem.
Bądź moim Stróżem Aniołem!
Nie pragnę głosu, choć się moja dusza
W nieznaną błogość Twym głosem porusza,
Nie chcę uśmiechu, lubo tak świetlany,
Zdolen ukoić me najgłębsze rany,
Nawet i wzroku nie chcę, choć uroczy —
Z wszystkiem, co szczęsną duszę mą jednoczy.
Głos Twój, wzrok, uśmiech, niech odtąd nademną
Dźwięczy, tchnie, płonie potęgą tajemną,
Lecz ich niezwracaj ku mnie ni ku ziemi,
Wznoś, wznoś je w górę szlakami jasnemi,
Bądź gwiazdą, słońcem nad mych nędz padołem,
Bądź moim Stróżem Aniołem!
Bądź mi miłością, lecz miłością w Bogu,
Bądź wiarą moją, lecz wiarą w zbawienie,
Bądź mi nadzieją, tęczą w niebios progu;
I póki szat mych śmiertelnych nie zmienię,
Bądź mi Ty kwiatem, co ciernie oplata,
Bądź mi harmonią wśród rozstroju świata,
Bądź łzą litości, bądź cudem ofiary,
Tkliwością siostry i matki opieką,
Wszystkiem co wielkie, co święte bez miary,
Byś mogła, gdy się doczesności wieko
Zamknie nademną, wziąć mnie w skrzydła swoje,
' wnieść mą duszę w wieczności podwoje.
-n, wejdę, jeśli z Tobą społem,
Wejdę ta- -końca mym Stróżem A-
Bądź więc do- -niołem!

Zyg- -munt Krasiński.

W życiu to tylko się zna, co się przeżyło, to tylko można wyrazić, co się zna.

Antoni Sygietyński.



Za kulisami opery paryskiej.

Paryska „Wielka Opera," czyli jak się oficyalnie nazywa „Academie nationale de musique," uchodzi słusznie za najpiękniejszy w świecie teatr. Widząc tam życie zakulisowe, panujące dzień w dzień, tak latem jak i zimą, można śmiało powiedzieć, że jest to jedna z najdziwniejszych świątyń sztuki, jakie wogóle istnieją. Tego życia zakulisowego nie znają nawet Paryżanie, pomimo, że nadzwyczaj jest zajmującem i godnem poznania. Dowodzi ono, że w tym najpierwszorzędniejszym przybytku sztuki nietylko artyści odgrywają rolę, ale że doskonały zarząd potrafi opanować i kierować całym skomplikowanym aparatem modnej sceny aż do najmniejszych drobnostek.

Kto n. p. przypuszcza, że każdy kostyum, począwszy od najskromniejszego wieśniaczego aż do najwspanialszego wschodniego, potrzebny do przedstawień w Operze, w gmachu samym jest uszyty! Wejdźmy z bulwaru Haussmanna do wnętrza tego ogromnego budynku, i przebywszy pod przewodnictwem jednego z urzędników labirynty kurytarzy i ganki, wchodzimy nareszcie na 17 piętro, na którem znajdują się obszerne szwalnie. Około 40 kobiet i dziewcząt szyje tu dzień w dzień kostyumy. Można sobie wyobrazić o nawale pracy, jeżeli się zważa, jakiej ilości kostyumów wymagają olbrzymie chóry i balety, zachodzące w większej części oper. Są przecież i takie opery, u których balet i chór występują kilka razy, a zawsze w odmiennych kostyumach. Chórzystek jest przecięciowo trzysta, baletniczek dwieście, do każdej więc prawie opery trzeba ubrać mniej więcej pięćset osób. Kostyumy muszą być najrozmaitsze, począwszy od kostyumów szwedzkich wieśniaczek i rzymskich Westalek, a skończywszy na wdzięcznych sukniach rokoko i lśniących przepychem szatach wschodnich. Krawczki stoją pod dyspozycyą wicedyrektrzy, która znowu stósować się musi do rozporządzeń pani dyrektrzy, bardzo, jak łatwo pojąć, poważnej i ważnej osobistości. Razem z nią pracuje szef krawców, który ma w swojem atelier 26 krawców. Mężczyzni zarabiają 4—6, kobiety 3—5 franków dziennie.

Osobny urzędnik zawiaduje ogromnym składem materyi na kostyumy i wydaje szefom obydwóch pracowni wszelkie potrzebne materyały — jest tam zawsze za 50—60,000 franków zapasów. Opera posiada przeszło 20,000 rozmaitych kostyumów, które doprawdy, nie

jest drobnostką, przechowywać, utrzymywać w porządku i w danym razie sporządzać. Kapelusze, turbany i wszelkie przeróżne przykrycia głowy do zupełnie innego należą wydziału, to samo dzieje się i z perukami, wąsami i brodami, należącemi do upiększenia i „maskowania“ chórzystek i chórzystów, baletniczek itd., a których razem jest około 18 tys. Dwóch mistrzów fryzyerów utrzymuje wszystko w porządku i stara się o to, aby kilka godzin przed rozpoczęciem n. p. opery „Salambo,“ było 700 peruk, tyleż wąsów i bród w pogotowiu dla chórzystów i statystów.

Mistrz kunsztu obuwianego i żona jego czuwają nad butami wojowników i rycerzy, potrzebnemi wtenczas, gdy występuje Caruso (wielki ten śpiewak żąda zawsze, aby chórzyści mieli wysokie buty), lecz są także odpowiedzialni za jedwabne trzewiczki najmłodszej, najkapryśniejszej baletniczki. Greckie koturny i modne lakierki, są również powierzone jego opiece i niech Bóg broni, aby przy jakim koturnie był korek wykrzywiony, albo aby rzemyk u sandałów za słabo był przyszyty! Ale gdy w ostatniej chwili odpruwa się guzik lub rzemyk pęka, wtedy jest to sprawka szatana, i nawet wszechpotężny reżyser nic poradzić nie może.

Najbogatszym jest naturalnie pan szef wydziału jubilerskiego. Ma on więcej koron i dyademów, niż wszyscy mocarze całego świata. W skrzyniach jego lśnią brylanty wielkości kurzych jaj, rubiny, szafiry, szmaragdy i topory ciężkie, jak żelazo, a w szafach spoczywają w ogromnych oszklonych pudłach naszyjniki, dyademy, kolczyki, pierścienie, bransolety i t. p. ozdoby. Oprócz tego całe stosy nieoprawionych kamieni. Tyle tam tego, jak piasku nad morzem, lecz niestety — wszystko to nie warte więcej niż piasek, bo wszystkie kamienie są prostem szkłem, a lombard, czyli „Mont'de-Piete paryski nie dałby za cuda te ani jednego franka! Pomimo to żądają królowie i królowe na scenie, aby korony były zawsze w porządku, i szef wydziału jubilerskiego ma nieraz dosyć kłopotu z brylantami lub perłami, które nie chcą w żaden sposób siedzieć w oprawie, tylko z zasady z niej wypadają. I gdy już wcale rady dać sobie nie może, wtedy zwraca się o pomoc do trzech swoich kolegów, szefów wydziału broni. Puszkarze ci muszą dzień w dzień fabrykować najrozmaitszą broń, starożytną, średniowieczną i nowoczesną, i to wszelkich ludów w świecie — są tam hełmy, puklerze, strzelby, sztylety, dzidy, pałki, włócznia słowem różna broń, jaka wogóle istniała. Czasem cały orszak wojowników musi być na scenie, nikt zaś nie ma pojęcia w jakim kłopocie są puszkarze, jeżeli „tenor,“ dla którego przygotowano lśniący, srebrny pancerz, utył w ostatnim czasie tak, że mu pancerz za ciasny!


Przed lisią norą.

Jak baczną muszą puszkarze zwracać uwagę na sztylety, aby w chwili zadania ciosu złamały się lub wsunęły w pochwę. Mechanizm przytem dosyć jest skomplikowany, lecz pomimo nadzwyczajnej staranności zdarzało się nieraz, że w właściwej chwili wypowiedział posłuszeństwo i że aktor, mający być ugodzonym, był rzeczywiście zranionym.

Na sali teatralnej odbywa się nieustanne porządkowanie. Po każdem przedstawieniu trzeba zamieść okrągłych dziesięć tysięcy metrów kwadratowych posadzki i otrzeć pył z wszystkich krzeseł aksamitnych i drewnianych. Jeżeli pogoda sprzyja t. j. jeżeli publiczność miała czyste obuwie, to do zamiecenia i otarcia pyłu potrzeba 8 kobiet i 8 mężczyzn, którzy zajęci są tą robotą od 6-tej rano do 4-tej po obiedzie, z jednogodzinną pauzą obiadową. Ale jeżeli Paryż stoi pod znakiem deszczu, to potrzeba 25 osób do uporządkowania sali. Kobiety muszą po każdem przedstawieniu przeszukać wszystkie loże i fotele, czy która z pań nie zgubiła czego, i nie ma prawie dnia, aby nie znaleziono kilka broszek brylantowych, kolczyków, bransoletek i t. p. klejnotów. Zguby składają potem w osobno urządzonem biurze, zkąd je właścicielki, po wylegitymowaniu się, zaraz nazajutrz odebrać mogą.

Scena Opery jest olbrzymią. „Głęboka“ na 50 metrów, zawiera dużo zajmujących tajemnic. Czternaście „piętr“ jest nad nią, pięć zaś pod nią — i tu znajduje się królestwo maszynistów, którzy z pomocą reżyserów prawdziwe cuda na scenie tworzą. Obecnie liczy Opera jednego głównego maszynistę, jednego „pod-szefa,“ 4 brygadyerów, 150 pomocników i 104 rzeczywistych maszynistów, którzy nie opuszczają teatru od godziny ósmej rano aż do północy. Czasem muszą pracować jeszcze dłużej. Pomocnicy przychodzą tylko wieczorem i dostawają za robotę 2 franki, podczas kiedy maszyniści pobierają dziennie 6-8 franków. Pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia są wszyscy na wyznaczonych sobie miejscach, jedni na scenie, inni za kulisami lub na „piętrach“. Głównem ich zadaniem jest prędkie i dokładne przesuwanie kulis i poruszanie dekoracyj za pomocą przeciwciężarów. Te „contrepoids“ ważą razem 122,000 kilogramów; sznurów zaś żelaznych jest na długość 12, a konopnych na długość 223 kilometrów.

Osobny urzędnik czuwa nad pochodniami, bengalskiemi ogniami i wszelkiemi sztucznemi ogniami. Inny ma pod opieką wszelkie drobne przedmioty, potrzebne na scenie, a których brak pozbawiłby przytomności umysłu niejednego wielkiego artystę lub artystkę. Są tam talerze, kieliszki, szklanki, książki, obrazy, wazony, pudełka, laski, listy, rogi i tysiące innych drobnostek. A jeżeli coś raz nie jest na scenie w porządku, to ar-

tyści wiedzą, kogo się trzymać i komu gwałtowne czynić zarzuty.

Sklep w Operze podobny jest do prawdziwie bezdennej przepaści, albo do prawdziwego piekła. Tutaj bowiem znajduje się w sezonie zimowym dwadzieścia czeluści centralnego ogrzewania w nieustannym ruchu, pochłaniających dziennie 10,000 kilogr. węgli. W sklepie jest także niezmiernie skomplikowany system elektrycznego oświetlania, pracuje przy tem 11 elektrotechników z 17 pomocnikami. Lamp jest przeszło 10,000.

Na końcu dodać jeszcze należy, że Opera zabezpieczoną jest od ognia. Czuwa nad nią 20 strażaków we dnie, wieczorem zaś przychodzą jeszcze miejscy pompierzy do pomocy. Na poddaszach gmachu znajduje się 9 rezerwoarów wody, zawierających razem 150,000 litrów w danym razie może spłynąć cały potop na scenę i na salę, i to w przeciągu kilku sekund. Setki ludzi pracuje w pocie czoła nad tem, aby się publiczność zabawiła, i aby nikt na niebezpieczeństwo narażonym nie był. Ale takie urządzenie ma też tylko jedyny ten teatr na świecie, nawet amerykańskie nie mogą mu dorównać.



Kalendarzyk historyczny.

Dnia 23-go lutego 1766 śmierć Stanisława Leszczyńskiego. — 1820 śmierć poety Felińskiego. — 1834 śmierć jenerała Samuela Różyckiego.

Dnia 24-go lutego 1582 zdobycie Dorpatu. — 1793 manifest króla pruskiego przeciw Gdańskowi.

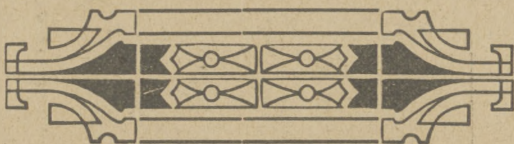
Dnia 25-go lutego 1563 zajęcie Pskowa przez Moskwę. — 1731 hołd księcia kurlandzkiego. — 1831 krwawa rozprawa z Moskwą pod Grochowem. — 1832 zawiązanie w Londynie Towarzystwa literackiego.

Dnia 26-go lutego 1383 na sejmie w Sieradzu Jadwiga królową ogłoszona. — 1430 Władysław Jagiełło rozprzestrzenia przywileje szlacheckie. — 1654 Moskwa prosi o pokój. — 1701 przymierze Augusta II. z carem Piotrem w Birzach. — 1831 Skrzynecki naczelnym wodzem. — 1864 klęska pod Gdowem.

Dnia 27-go lutego 1290 zwycięstwo Władysława Łokietka nad Konradem — 1369 traktat zaczepny i odporny z Węgrami w Budzie. — 1380 zawarty traktat z mistrzem inflantskim.—1670 ślub Michała Wiśniowieckiego z Eleonorą Austryaczką w Częstochowie. — 1837 zamordowany w Wilnie Szymon Konarski. — 1864 pobożna procesya przez Austryaków na Podgórzu wymordowana.

Dnia 28-go lutego 1258 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1572 śmierć Katarzyny, żony Zygmunta Augusta. — 1812 śmierć Hugona Kołłątaja.

Dnia 1-go marca 1456 urodzenie Władysława Jagiellończyka, króla czeskiego i węgierskiego. — 1634 Moskale składają broń pod Smoleńskiem. — 1824 zamknięcie szkół w Kiejdanach.



Humor i satyra.

Kapela europejska.

Prusak i Włoch z Austryakiem —
Anglik, Bułgar, Francuz z Misiem,
Grali: Rach-ciach-ciach ze smakiem,
Przed tureckiem tłustem pysiem.

Turek wytknął pysię, Kios-ki,
Słuchał chciwie, oczy zmrużył,
Gładził w brodzie siwe włoski
I swobodnie fajkę kurzył.

Wtem z kapeli — jak wyskoczy
Bułgar i w łeb Turka palnie
Kulą z prochem między oczy,
Aż przewrócił się fatalnie.

Cała kapela struchlała;
Turek woła: — Ratuj! bogi!
Lecz kapela nie czekała,
I z pod Kiosku dalej w nogi.

Aż się w drodze przewracali,
Włosy im stawały z strachu,
Tak się o swe gnaty bali,
Nim dopadli swego gmachu.

Stąd w Londynie grano głupio,
Basy, trąby rozstrojone,
Bo od Turka czuć woń trupią,
A Rach-ciach-ciach nie skończone.

Więc się dalej basy stroi,
Anglik, Misio wraz z Francuzem, —
Niemiec, Węgier znów się boi,
Czy nie pójdzie od nich z guzem.

Lecz dostroić się nie mogą,
Klną się wzajem, odgrażają —
Który pierwej palnie kogo,
Bo już szable wyciągają?

A ludziska Boga proszą,
Aby więcej już nie grali,
Bo się znowu potarmoszą,
I świat wojną się zapali.

J. Nocek.

* * *

Umierający skąpiec.

Niedawno temu zmarł pewien handlarz w Warszawie, który przez długie życie uzbierał sobie znaczny majątek.

W nocy, na kilka chwil przed zgonem, zapalono lampę przy jego łóżku, a księżyc wtenczas w pełni świecił.

Umierający raz po raz zwracał swe oczy to na lampę, to na księżyc. Nagle odzyskał mowę i zawołał syna. Ten przybiegł myśląc, że ojciec da mu jakieś ważne zlecenia w sprawie spadkowej. Synu — rzekł skąpiec coraz bardziej słabnącym głosem — zgaś lampę, teraz nafta tak droga, księżyc świeci w pełni, trzeba być oszczędnym!

* * *

W sądzie:

Sędzia w procesie rozwodowym: — A więc żona gotowa jest podać panu rękę do zgody. Co pan na to?

Mąż: „przyjmuję karę.“

* * *

Nie wolno.

— Czy mama nie wie, jak się pisze „wieprz?“ — Przez „rz“ czy „sz“ na końcu....

— Nie, Salcze, nie wiem, mnie nawet tego wiedzieć nie wolno, bo my tego nie jadamy.

* * *

Niestraszna przygoda.

— Izydor, ty jesteś baran!

— Co to jest baran, jak ty możesz powiedzieć takie nieprzyzwoite słowo, ja tobie nie daruję, ja czebie wypistoletuję na szmierć.

— Ja sze czebie nie boje...

— Ja wcale nie mówię z panem Morycem. Zobaczymy się na polu skonania, wyzywam pana, a jutro przyślę ajentów od pojedynku.

* * *



Gawron wyczytał w gazecie, że w biurze Ślepeckiego potrzebują posługacza.

Wchodzi do biura, rozgląda się głupkowato, podaje najstarszemu z panów swoją książkę służbową i mówi:

„Hm, nie wiem, czym trafił, czym nie trafił?... Czytałem w gazecie anons, że pan Ślepecki poszukuje posługacza, a tu widzę, że panowie wszyscy macie dobre oczy i że żaden z was nie jest ślepy.“

— Mój kochany Leon i Jóżo, wy potrzebujecie iść do Moryca i wyzwać jego na pojedynek. Ja wam na to daję prokurę...

— Na co wyzywać, ty jego lepiej zaskarż do sądu.

— Kiedy nie było świadków, a ja jestem bardzo zły, jak lew w zwierzyńcu, więc ja go muszę koniecznie przekłuć pistoletem.

— Pistoletem! A czy ty masz bilet? żeby z policyi nie było jakie nieprzyjemności!

— Ja wam powiadam, co macie iść i koniec.

* * *

— No, stawiajcze sobie na placu: ty Izydorek na prawo, a ty Moryc na lewo

— A na co niema żadnego doktora to żaden interes!

— Nie bój sze, Moryc, zaraz przyjdzie pan Glueckvogel, dentysta, ja jemu zaproszyłem.

— No teraz sobie naczyśnijcie palec z kurkiem, raz... dwa... trzy...

— Co jest, wcale nie puknęło?

— Za co miało puknąć, kiedy nie było nabite?

— A dlaczego nie nabite?

— Albo ty mi co mówiłeś, żeby było nabite, albo dałeś na proch?

— No, no, to ja jego zaskarżę do kryminału, un zapłaczy odszkodowanie.

— O jej, to jest bardzo lepszy interes, jak takie głupie zamordowanie.

* * *

Jak sobie ludzie radzą?

„Tonący brzytwy się chwyta", powiedział sobie pewien młodzian, który się grubo zaszargał w długach — i ożenił się ze starą, lecz bogatą babą.

* * *

„W mętnej wodzie najprędzej się coś złowi", rzekła panna Fifina i wyszła na spacer podczas deszczu, podkasawszy wysoko sukienkę — i wnet złapała ad nisa.

* * *

Ostatnie słowo profesora.

Pewien student, którego zasób wiadomości był *bardzo mały*, żegnał się z jednym ze swoich profesorów i powiedział mu między innemi komplement następujący:

— Zawdzięczam panu profesorowi wszystko, co wiem!

— Ach! — odpowiedział profeso nie mniej grzecznie — nie wspominajże pan o takiej *drobnostce*.

* * *

Między podlotkami.

— Moja bogata mama tyle ma włosów, że nawet wszystkich razem nie nosi.

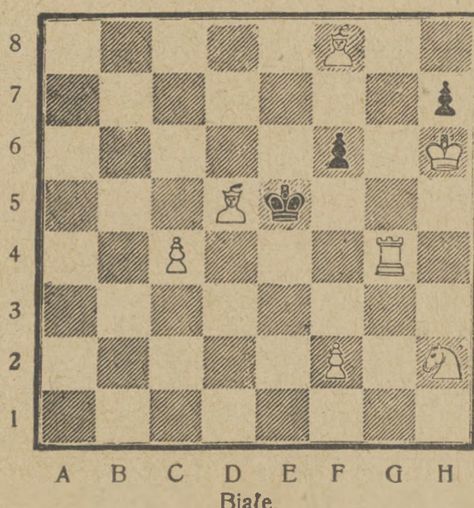
— Oho, to moja mama jest bogatsza, bo ma nawet złote zęby!

Szachy.

Zadanie III.

Białe zaczynają i dają mata za 3. posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania II. z nr. 52-go „Pracy" r. z.

Białe.	Czarne.
1) B4–B5	1) jakkolwiek.
2) mat koniem lub królową.	

Wypełnianka.

Nadesłał czytelnik „Pracy" p. Bolesław Rembowski, artysta teatru polskiego w Poznaniu.

1		i								m
2		s								a
3		o								w
4		l								a
5		d								y
6		m								z
7		e								z
8		l								a
9		z								e
10		a								i

Wypełnić poziome rzędy, ażeby wyszły znaczenia.

1) Proszek bardzo zapalny. 2) Nauka o ciałach niebieskich. 3) Jakich ludzi trzeba się strzedz na przedmieściach? 4) Nauka o obserwacyi procesów odbywających się pod powierzchnią ziemi. 5) Tożsamość. 6) Wysłaniec polityczny na zwiady. 7) Imię przypadające w maju. 8) Oświetlenie uroczystościowe. 9) Miejscowość i rzeka w Karpatach. 10) Książki naukowe rosyjskie rachunkowe.

Litery wstawione w pierwszym i piątym rzędzie, czytane od góry do dołu, dadzą nazwisko i tytuł weterana-bohatera z 1863 roku.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 27-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego rebusa.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie zagadki z nr. 6-go.: Baron.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: pp. Janek z pod Góry Przemysława. Marcin Matuszak.

Z PROWINCYI: pp. Stanisława Malinska i Zofia Weinert z Borku, Helena Żmidzińska ze Skalmierzyc, Bronisława Podlaszewska z Giżewa pod Kruświcą, Marya Mannówna z Oporowa pod Wronkami, Z. Redlak z Kendzierzyna pod Gnieznem.

Z PRUS ZACHODNICH: p. Ludwik Rządkowski, malarz artysta z Przechowa w powiecie świeckim.

ZE ŚLĄSKA: p. Janina Sisiecka z Wojciechowa.

Z GALICYI: Kazimierz Hroboni z Chodorowa, Aleksander Gwóźdź z Libiąża.

ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: pani Eugenia Malinowska z Nowsia

Z OBCZYZNY: p. Z. Dąbrowska z Landsbergu nad Wartą.

Nagrodę otrzymali: pp. Janek z pod Góry Przemysława, Bronisława Podlaszewska z Giżewa, Kazimierz Hroboni z Chodorowa, Eugenia Malinowska z Nawsia.

Nasz kącik.

Spełniając życzenia sędziwego Dziadziusia, p. St. Wiśniewskiego, weterana z r. 1863, który walczył za Ojczyznę przeciw Moskalom, umieszczam zmieniony trochę jego wierszyk, z podziękowaniem dla dobrych dzieci, które odgrywały teatrzyk, oszczędzały, aby grosze swe przysłać staruszkom:

Niechaj nam żyje młode pokolenie!

O, dziatki polskie, litościwe, małe,
Wierne Ojczyźnie i Bogu,
Wy im wzrastacie na cześć i na chwałę
Już dziś, w młodości swej progu.

Nam mówią o tem, wasze grosze, dary,
Słane obrońcom Ojczyzny,
Pracujcie dla niej, pełne mocnej wiary,
Kochajcie polski łan żyzny.

Bóg że wam zapłać, wzrastajcie wesoło,
Hartujcie serca już z młodu,
By wszystkim troskom mężnie stawić czoło
I być pociechą narodu!

Odpowiedzi i poprawka.

Stokrotka. Chełmża. Moja miła, bynajmniej nie jesteś najstarszem dzieckiem „Kącika", mam kilkoro znacznie starszych. Twoi Rodzice bardzo są kochani, skoro ci już dali pieniądze na podróż; teraz zbieraj jeszcze grosiki na nasz składkowy podwieczorek, przypuszczam, że wydatek na każde dziecko nie będzie wielki, może kilka trojaczków. — Podróż pisze się ó, a nie u. Dali mi, a nie — doli my. — Szarotka i Bławatek z M. Oj, bodaj to z wiosną wśród naszych niw jaknajwięcej zakwitło takich Bławatków, co to nawet sześć latek nie licząc, już ślicznie atramentem piszą. Niech żyje Bławatek z M.! Przysłowie powiada: Mądrej głowie, dość na słowie, to też moja Szarotka wszystkiego trafnie domyśla się. Cieszy mnie to barzdo, że i ty poszłaś śladem niezapominajki z Kostrzyna, prawda, że to dużo daje przyjemności? Smutno mi, że i ciebie wkrótce utracę! Kącik chyba żałobę przywdzieje, gdy tak wszystkie starsze ptaszęta i kwiatki po świecie się rozpierzchną; chyba, że malutkie „Kącikowi" tę stratę nagrodzą? — Lilijka. Berlin. Moje biedne, zapracowane dziewczątko, gdzieżbym mogła się na ciebie gniewać, skoro wiem, że tyle masz roboty. Cieszę się, że mimo braku czasu, nie zaniedbujesz ojczystego języka, błędów jest mniej niż dawniej: Więc, w środku, nie n. Żadnej, wolnej godziny, a nie — żadny, wolny. Później ó, nie u. — Mysia Skąpska. Gąsawa. Życzeniu twego dobrego serduszka może stanie się zadość. Staram się o to usilnie. — Słowik. Pleszew. Jeszcze wiosenka daleko, a mnie Słowiczek już tak pięknie zaśpiewał, aż mi się ciepło w około serca zrobiło. Starajże się być zdrowym, abyś mógł przyjechać, pewnie, że i inne dzieci chętnie by chciały wziąć udział w zbiorowej fotografii. Za przysłaną „cegiełkę" na dom katolicki w Pleszewie, serdecznie ci mój mały dziękuję, a teraz poprawmy błędziki: Części, nie zaś części. Historya h, nie ch. Czerstwa cz, nie c. — Czarny Rycerz, Biały Orzeł. Inowrocław. Dobrze chłopaczki, że tacy jesteście obowiązkowi. Wierzę, że pisanie do wiernej przyjaciółki jest dla was przyjemnością, ale nauka przedewszystkiem! Bardzo jestem ciekawą waszego pisemka, może jeden numerek przyślecie mi na okaz, dobrze? Nim „Kącik" ukazał się w „Pracy" prócz „Opiekuna Dziatek", nie było więcej dziecięcych pisemek. W ostatnim czasie tyle ich powstało ku pożytkowi młodzieży. Cieszy mnie, że mój przykład tak zachęcająco podziałał. Tak mój Rycerzu, nie chcesz znów stanąć do „wyścigów zagadek historycznych", zaczną się w następnym „Kąciku". Przed tygodniem czytałeś już zapewne mój Biały Orle, iż pisząc o zjeździe, wspomniałam również, że czas zielonoświątecznych wakacyj najlepiej by się do zjazdu nadał? Bardzom ciekawa was poznać, mam waszą podobiznę, cóż, kiedy nie wiem, który z was jest Orłem, a który Rycerzem? — Ogółem dotychczas doniosło mi o chęci wzięcia udziału w naszym zjeździe około 20 dzieci, niektóre dawniej także o tem wspominały, lecz czekam jeszcze potwierdzenia. Moje pociechy najmilsze, tulę was do serca czółka całuję. *P. W.*

Polska wiosenka.

Przechadzka, ruch, woda, rumieńca, sił doda,
Więc z młodu, od dziecka, hej, rusz się z za piecka!
Wnet wiosna zawoła: Do koła, do koła!
Niech duch w was nie drzemie, trza poznać swą ziemię
I łąki i drzewa i ptaszka, co śpiewa;
A w duszy dziecięcej wnet będzie go ręcej:
Otworzą się oczy i serce podskoczy
I w piersi uderzy, pokocha kraj szczerzej,
Podniosą się czoła, głos jeden zawoła:
Nam serce w takt bije: O, Polska niech żyje!!!

P. W.

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku

(Ciąg dalszy.)

Szary świt zaczynał się przedzierać przez wierzchołki drzew, gdy w lesie rozległ się tętent koni, dzikie okrzyki gwizdania. To patrol kozacki jechał na wywiady. Zimno do szpiku kości wkradało się Kozakom. Pozsiadali więc z koni, broń w kozły ustawili i roznieciwszy na małej polance ognisko, konie do drzew powiązali i grzejąc ręce, raczyli się wódką i słoniną. Wilgotne gałązki źle się paliły, więc jeden z sołdatów ruszył po chwast do zagajnika. Wtem odblask porannej zorzy odbił się w złotym medaliku leżącego na ziemi Stefka. Sołdat krzyknął, schylił się i chciwą ręką po zdobycz sięgnął. W tej chwili Stefek zbudził się, strach jednak nie ubezwładnił go, lecz wrócił mu przytomność, wszyscy otoczyli go w koło, lecz on zasłaniając swoje relikwie krzyknął po rosyjsku: Nie trogaj, bieri łuczsze deńgi! (Nie ruszaj, weź lepiej pieniądze!) I szybkim ruchem odpiąwszy pas, tak gwałtownie rzucił im go pod nogi, że aż się rozsypała wokoło złota i srebrna moneta. Z dzikim okrzykiem rzucili się Moskale na pieniądze. Skorzystał z tej chwili bezbronny Stefek, jednym skokiem znalazł się przy moskiewskiej zbroi, porwał za pałasz, chwycił za uzdę kozackiego konia, skoczył i jak strzała pomknął przed siebie. Snem pokrzepiony, czuł się trochę mocniejszym. O, gdybym mógł się przedostać do naszego oddziału, myślał, ale gdzie on jest teraz? — W dali widać było mały folwarczek. Co zrobić, czy udać się tam, prosić o posiłek i wskazówki, czy jechać dalej? Czy tam nie czeka znów zdrada? Ale i w polu lada chwila patrol kozacki mógł go dogonić, więc Stefek zdecydował się i pojechał ku dworkowi. Staruszeczek, jak pień głuchy, gościnnie go przyjął, lecz objaśnień żadnych udzielić nie umiał. Gospodyni nie mniej sędziwa widząc zmęczenie i głód chłopca, nasyciła go i w bocznym alkierzyku wygodne łóżko zasłała. Stefek zdrożony usnął. Jakież było jego przerażenie, gdy w nocy, niespodzianie szczek broni posłyszał... Zerwał się strwożony, gospodyni ledwie odziana do alkierza wpada: Jezus, Marya, paniczu, Moskale... Chodź, chodź, ukryję cię na strychu! Ale już było za późno, Kozaki wtargnęli już do pokoiku. Zemsta gorzała w ich małych, skośnych oczach: Ha, buntowczyk, uszoł nam i apiać w naszych rukach (Ha, buntownik, uciekł nam i znów jest w naszem ręku). Ledwie Stefek zdołał się trochę przyodziać, wypchnęli go, kułakując i bijąc i uwiązawszy między dwoma końmi, dosiedli je i ku miastu pognali. Ach, ileż razy biedny Stefek upadał i smagany nahajkami, zmuszony był mimo krwi upływu znowu zrywać się i biedz dalej. Gdy go wreszcie do Szydłowca dowlekli, zemdlał z bólu i wycieńczenia tak, że niezdolny był odpowiadać pytającym go oficerom żandarmeryi. Po kilku dniach przebytych w szpitalu, odesłano Stefka do gubernialnego miasta, Radomia, a później jeszcze do cytadeli Warszawskiej.

Oj, złe wieści pędzą lotem ptaka. Już dobiegły one do uszu matki, już biedna ręce łamie i płacze w rozpaczy. Mąż w więzieniu, a teraz i syna uwieziono... Nieszczęśliwej kobiecie przez jedną noc włosy pobielały, ale wstała z gotowem postanowieniem i na drugi dzień wyjechała do Warszawy. Biedna Ania została znowu sama. Nie wiedząc jeszcze o losie Stefka, ale smutna z powodu wyjazdu mamy, chodziła Ania z pokoju do pokoju, a za nią trop w trop wlókł się dziwnie osowiały Burek. Ania jedną rączką tuliła lalkę — Stefcię, a w drugiej trzymała modlitewniczek od brata otrzymany. Przed każdym świętym obrazkiem klękała i otwierając książeczkę, modliła się za nieszczęśliwą Ojczyznę i za ukochanych: Boziu, Boziu wypędź Moskali, niech nie zabiją Stefka i spraw, niech tatuś i mama prędko powrócą. W czasie tych modlitw, Burek układał się u nóg Ani, lecz jeśli z jej oczu łzy obficiej płynęły i łkanie nią wstrząsało, zrywał się Burek niespokojnie, lizał rączki dziewczynki i póty się łasił i figle stroił, póki się do niego nie uśmiechnęła weselej. A tymczasem tatuś i Stefek badani w więzieniu, znosili straszne katusze i tortury za to, iż nie chcieli zdradzić współtowarzyszy, a mama czyniła nadludzkie wysiłki, aby ich ocalić. Chciano im ułatwić ucieczkę, nie udało się, pragnęła przekupić straż — i to się przypadkiem wydało, klęczała u nóg srogich prześladowców, błagając o litość, ale oni litości nie znali i zaledwie zdołała uzyskać to, iż pozwolono jej jechać z synem, ciężko chorym i osłabionym. — D. c. n.



Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

49)

(Ciąg dalszy.)

Nagle wyprostował się, dreszczem wewnętrznym wstrząśnięty.

— Dość! — zawołał.

Przybiegli generałowie — on rozkazał:

— Odstąpić od szturmu! Wojska cofnąć!

Wytłumaczono mu, że to niemożliwe. Oddziały dotarły do samych murów; część ich znajdowała się w głębokim parowie, część wdarła się w niedostępne zarośla i przesmyki. Łatwiej im było iść naprzód, lub zginąć na miejscu, niż cofać się...

Cesarz rozważał to wszystko przez chwilę; potem rozesłał adjutantów z rozkazami, aby wojska, zawiesiwszy działanie, na zajętych pozycyach noc przetrwały.

Bowiem nadzwyczaj prędko, prawie w jednej chwili, noc zapadła. Wyglądało to tak, jakby gniewny, lekkomyślny lub widzów swych lekceważący dyrektor zapuścić kazał zasłonę przed końcem widowiska.

A ci widzowie na wzgórzach, stopniowo podnoszących się, niby na amfiteatrze, rozmieszczeni, z zamierającem sercem wyglądali dramatu, który się w ciemnem zagłębiu, niemal u ich stóp, rozgrywał.

Już część gońców dotarła do walczących, już piekielna muzyka wystrzałów brzmieć zaczynała *decrescendo*, już dymy czarne rzedniały, ukazując w szczelinach zarysy miasta i zamku... Napoleon uderzał niecierpliwie butem w ziemię, i ostrogą rył bruzdy głębokie — rwał się, jak rumak, co słyszy trąbkę wojenną, a na miejscu stać musi, dłonią jeźdźca ściągany. Wściekał się, że nie ma rąk tak długich, by mu pozwoliły chmury dymu rozgarnąć, że wzrok jego nie jest zdolny przebić stężałych mroków nocy.

W tej chwili, przy cichnącym już grzmocie dział, tu i owdzie, na dachach i wieżach miasta ukazały się szkarłatne, wijące się wężyki. Było ich niewiele, ale z każdą chwilą mnożyły się. Niebawem czerwone, splątane, na dużej przestrzeni rozrzucone wężowisko zaroiło się w ciemności.

Pełna zdziwienia i lęku cisza zapanowała w orszaku cesarza. Wszyscy wzrok i myśli wytężali, usiłując zrozumieć; co się stało?

Jeden z generałów szepnął do towarzysza:

— Czyżby de Lobau popełnił to szaleństwo?

Hrabia de Lobau przebywał ze swym oddziałem w parowie, dotykającym bezpośrednio murów. On również, na widok owych wężów krwawych, zadał sobie toż samo pytanie.

Tymczasem, pospołu z wytryskami ognia, dobywać się zaczęły z miasta fontanny dymu burego.

Nie było już wątpliwości: Smoleńsk gorzał.

Ogień szerzył się zwolna, leniwie, zamierając w jednych miejscach, wyrastając w innych. Zdawało się, że niechętnie, i jakby tylko pod przymusem swe straszne dzieło pełni.

Od strony miasta napływał gwar. Wielka odległość nie pozwalała rozpoznać głosów i ich znaczenia. Byłyż to krzyki trwogi, pogromu, czy też rozpacznego wołania o pomoc?

— Gdzie Polacy?... Gdzie Poniatowski?... — dopytywał cesarz, nie rozchmurzając czoła, nie przestając niecierpliwić się.

Odpowiedziano, że korpus piąty przebywa od początku w głównem ognisku piekła bitewnego, że nieprzyjaciel całą wściekłość na nim wywarł, że o Poniatowskim wieści niema, że wszystkie przedmieścia zasłane są trupami polskich żołnierzy — że cały ten oddział za przepadły uważać należy...

Zżymał się Napoleon i chwytał za lewą nogę, w której zwykłe drgawki występowały.

Resztę nocy bez snu przepędzono.

Pożar stopniowo przygasał, jakby dymem i nocą duszony. Gwar z każdą chwilą cichnął, oddalał się, zamierał. Działa z jednej i drugiej strony zamilkły. Nad miastem unosiło się tchnienie śmierci i cmentarza.

Cisza ośmielała. Ledwie szarzeć zaczęło, mały oddziałek Francuzów podsunął się pod same mury, znalazł wyłom — z nastawionemi bagnetami, z palcem na cynglu, ostrożnie, na palcach niemal, wkradł się do środka.

Śmiałkowie, ledwie jedną pustą ulicę przebywszy, stanęli w miejscu, strachem śmiertelnym zdrętwieni. W pobliżu, tuż za węglem wielkiego domu, rozlegały się liczne cudzoziemskie głosy. Głosy brzmiały twardo — rosyjskie być musiały...

— Wleźliśmy djabłu w pazury... — mruknął gniewnie któryś z wiarusów.

Uformowali się pod murem; postanowili drogo życie swe sprzedać.

Ale w tejże chwili ukazały się z poza węgla wysokie kity, błyszczące kaski, poczciwe, ogorzałe, wąsate twarze.

— I wyście tu, kamraci? — ozwał się wesoły, nieco zdziwiony głos dowodzącego onymi podoficera.

—*Camerades... camerades...* — powtórzyli uradowani Francuzi, odkładając broń na ramię.

Poznali Polaków.

— *Vive l'empereur!* — zakrzyknęli jedni.

— *Vive l'empereur!* — odpowiedzieli drudzy.

— Dawnoście tu? — dopytywali Francuzi.

— Od wczoraj.

— Któż z wami?

— Nasz książę kochany, i generał Krasiński, i inne generały. Dużośmy ludzi stracili: i prostego wojska i oficerów. Aleśmy postawili na swojem. Polak zawsze na swojem stawia.

— *Oui-da!... Bon!... — Oui!... Braves Polonais! Braves camerades!...*

Wzięli się pod ręce, wgłąb miasta poszli.

Otaczała ich pustka zupełna. Głosy huczały i budziły echo, jak w niezamieszkanym domu. Nie spotkali ani jednego żołnierza. Brak posterunków przekonał ich wkrótce, że cała załoga miasto opuściła. Co chwila dostrzegali tlące się jeszcze zgliszcza: biały, duszący dym pełzał po ziemi, w oczy się wgryzał. W rzadkich domostwach, przez ogień oszczędzo-

nych, drzwi były szczelnie pozamykane; za szybami widniały blade, wystraszone twarze.

Głód zaczął im dokuczać, więc wtargnęli do kilku domów, drzwi kolbami wywalając. Nie stawiano im najsłabszego oporu, ale zastali ludzi wygłodniałych, którzy sami chętnie by kawałek chleba przyjęli.

Ten i ów znalazł w kieszeni suchara kawał. Podzielili się nim wszyscy, potem przy najbliższej studni zapili mętną wodą skromny posiłek.

Szli wszyscy w stronę wielkiego placu, na którym książę Józef już biwakował.

Mijając jakąś ustronną uliczkę, usłyszeli hałas, szczęk broni, kłótnię głośną, wreszcie szybkie kroki uciekającego człowieka.

Podoficer z kilkoma Polakami podbiegli tam szybko, poznawszy po głosie rodaka.

Na niewielkim placyku stał porucznik Zefiryn, wymachując nagą szablą. O kilka kroków dalej, leżał na bruku, jęcząc głośno, ciężko raniony kozak. Drugi kozak uciekał, co miał siły, również krwią brocząc. Dwie spisy kozackie bez żeleźców poniewierały się na ziemi.

Zefiryn, szablą wymachując, klął siarczyście po polsku i po francusku.

Podoficer, człowiek już niemłody, z sutym wąsem, z twarzą poważną, dwiema szramami ukoronowaną, podbiegł doń salutując.

— Panie poruczniku — upominał — jak można tak się narażać! To tałałajstwo czai się po dziurach nakształt lisów, kun i rysiów. Czyha ono na nieostrożnych, co chodzą w pojedynkę. Pan porucznik wybaczy, ale...

— Tra la la! — przerwał żywo tamten. — Wszystko poszłoby jaknajlepiej, gdyby nie zbytnia jednego z tych łajdaków konfinedcya. Bowiem, że napadli mnie, to jest w porządku. Że ja, broniąc się, obciąłem im u spis żeleźce, a potem gnałem przed sobą, jak wieprzów parę, to również w porządku jest. Chciałem zapędzić kpów do kąta, zmusić do pardonu i oddać ciurom — niechby się niemi zabawili. *Parole!* ani mi przez myśl nie przeszło plamić w ich krwi nieczystej szablę, którą mam po stryjeczno-ciotecznym pradziadzie, towarzyszu króla Jana pod Wiedniem. Ale zmusili mnie do odstąpienia zasad...

— Czem, panie poruczniku?

— Mówiłem przecie: konfidencyą.

— Któżby tam na to zważał w czasie wojny.

—Tra la la! Dla mnie wojna, to tyleż, co *ensemble* salonowy. Ale te kacapy mieli tyle bezczelnoci, że się ośmielili swemi brudnemi łapami dotknąć mego nowego munduru. Znoszę tylko dotknięcia rąk kobiecych — i to pod warunkiem, że kobieta jest ładna i rączkę ma delikatną. Łapy tych niedźwiedzi były kosmate, spocone i dziegciem cuchnące. Straciwszy cierpliwość, wpakowałem szablę jednemu w gardło, drugiemu w brzuch.

— W porządku panie poruczniku.

—Rozumie się, że w porządku. A teraz chodźmy razem do Józia.

Wiadomość o zdobyciu Smoleńska doszła do cesarza. W mgnieniu oka odzyskał zwykłą pewność siebie, sprężystość i energię. Zarządził tryumfalne wejście do zdobytego miasta, z muzyką, z rozwiniętemi sztandarami. Spożył ze smakiem śniadanie, które mu podał marszałek dworu, otyły, podagryczny de Bausset, potem wyszedł przed namiot, i kołysząc się całem ciałem naprzód i w tył, podrwiwał z Rosyan .

— Cóż za bezwstydny tchórz z tego Barclaya! Oddać bez stoczenia bitwy miasto, otwierając drogę do samego serca imperyi. Dawałem mu sposobność do wsławienia się; dopomagałem niemal do pokonania mej armii. On stchórzył i uciekł. Z Rosyą już koniec! posiada ona armię nie do obrony i zwycięstw, lecz tylko do przyglądania się moim tryumfom. Upadek Smoleńska zadaje ostatni cios Rosyanom. Ich właśni żołnierze wstydzą się za swych wodzów; gromadnie uciekają z szeregów. Gdybym chciał, wszystkich przyciągnąłbym do siebie. Lecz co mi potem!

Trąby, bębny i klarnety napełniły puste ulice Smoleńska hałasem grzmiącej zwycięskiej pieśni. Cesarz dziękował Polakom, męstwo ich wysławiał. Blisko sto krzyżów rozdał polskim wodzom i żołnierzom. Poniatowskiemu ręce ściskał, w ucho go szczypał,, zapewniał, że nikt nie ma większych od niego praw do korony polskiej... A przed czterdziestu ośmiu godzinami tenże sam Poniatowski, był przezeń zasypany gradem wymówek, sfukany, niemal zelżony.

Izydor Krasiński, widząc umizgi cesarskie, szepnął do księcia:

— To ekspiacya za tamtą niesprawiedliwość.

Książę milczał.

Tamten ciągnął:

— Cesarz kaprysi, jak rozdąsana kobieta. Zmienia usposobienie z dnia na dzień, prawie z godziny na godzinę.

Na to książę:

— Jemu wolno!...

— Przytem — nieustawał tamten — coraz krótszą ma pamięć, a coraz większy upór. Nie myśli o potrzebach armii Księstwa Warszawskiego, zapomina o żołdzie dla Polaków, od korpusu piątego coraz nowe pułki odrywa, pozbawia nas Dąbrowskiego i innych najdzielniejszych oficerów. A gdy książę wskazujesz mu pewną drogę do zwycięstwa i na Południe iść chcesz, odrzuca twą świetną myśl z gniewem, niecierpliwością, wreszcie z krzykiem i powołaniem cię do posłuszeństwa... Jest-że w tem sprawiedliwość? — jest-że jakiś plan logiczny?

Książę Józef lekko brwi ściągnął.

— Ba!... — głucho mruknął, ręką machnąwszy.

I dosiadł z pospiechem konia, którego mu właśnie podprowadzono.

Tymczasem Napoleon wiódł rozmowę z popem rosyjskim, jedynym, który pozostał w opustoszałem mieście, władał zaś dość biegle językiem francuskim.

Pop gromił cesarza.

Z odwagą, którą daje rozpacz, sędziwy, poważny kapłan, nazywał cesarza „najezdnikiem", wyrzucał mu nieszczęścia ludu rosyjskiego, wreszcie wzywał nań pomstę Boga za podpalenie Smoleńska, obrócenie w popiół mnóstwa pięknych gmachów, domów mieszkalnych, spichrzów, składów żywności...

Napoleon z zadziwiającym spokojem wysłuchał popa. Następnie w krótkich słowach wytłumaczył mu znaczenie obecnej wojny, do której go „zmuszono"; zapewnił przytem, że pożar Smoleńska nie Francuzi wzniecili.

— Któż zatem? — jęknął pop, rozpacznie załamując dłonie.

Odpowiedź dali mu natychmiast właśni jego rodacy. Kilku Smoleńszczan oświadczyło, że miasto zostało podpalone w kilkunastu punktach, na wyraźny rozkaz generała rosyjskiego.

Pop innym teraz wzrokiem spojrzał na cesarza.

— A cerkiew wasza — zapytał ten ostatni — czy także zgorzała?

Na obliczu popa odmalowała się silna walka wewnętrzna. Przez chwilę milczał, wahając się co powiedzieć. Wreszcie przemógł obawę — z oczyma wzniesionemi, głosem mocnym odrzekł:

— Naszą cerkiew Bóg ocalił. Ufam też, że miłosierdzie boskie i teraz czuwać nad nią będzie. Do tego domu Boga, pod skrzydła jego świętej opieki, schronili się wszyscy, których pożar dachu nad głową i mienia całego pozbawił...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

9)

(Ciąg dalszy.)

— Pan Wachner jest podobny do mnie — rzekła Anna spokojnie — zrobił majątek prawdopodobnie na handlu, a teraz z żoną ryzykują trochę pieniędzy na grę. I dlaczegóżby nie mieli?

— Pani Wachner opowiadała mi dzisiaj wszystko o tym utopionym.

— A tak — to szkaradna historya. Głupstwo zrobili, że się tak bardzo zaprzyjaźnili. Czemu właśnie w tej chwili musieli być z nim. Wiesz, że mieli willę tuż nad jeziorem. A ten młody Rosyanin bardzo lubił jeździć łodzią. To było coś tajemniczego, ponieważ, przed tem nie był w mieście, ani w kasynie ze 4 dni przed wypadkiem. Dużo ludzi myślało, że sam sobie życie odebrał, ale ja w to nie wierzę. Wygrał pokaźną sumę — niektórzy myśleli, że ciężar pieniędzy pociągnął go na dno — ale to głupstwo — chyba się wplątał w rośliny.

— Pani Wachner mówiła mi, że dużo pieniędzy znaleziono w jego pokoju.

— Nie, to nieprawda. Tylko 400 fr. znaleziono. Myślę, że policya nie bardzo była grzeczna dla pana Wachnera. Rosyjska ambasada czyniła poszukiwania, a zdawało się to bardzo dziwne francuskiej władzy, że nie można było stwierdzić jego tożsamości. Nie znaleźli paszportu, ani żadnego papieru.

— A masz paszport? — spytała Sylwia — pani Wachner pytała mnie się, czy mam, ale ja nawet nigdy nie widziałam paszportu.

— Nie, ja także nie mam paszportu. Kiedyś miałam, ale zgubiłam. Właściwie w cywilizowanym kraju nie powinno być potrzebne coś takiego. Ale każdy Rosyanin musi mieć paszport, takie jest u nich prawo. A zniknięcie paszportu tego młodego człowieka było nadzwyczaj dziwne — doprawdy cała ta przygoda była tajemnicza.

— To było bardzo nieprzyjemne dla państwa Wachner — rzekła Sylwia w zamyśleniu.

— O, tak, naturalnie. Szczęściem on jest tylko systemami zajęty, a ona jest bardzo wesoła, mimo wszystko co przeszła.

— O tak, to prawda — cieszę się, żeśmy się z nimi zapoznali. To bardzo smutno jak się żadnych nie ma znajomości w tak wesołej miejscowości.

A Anna obojętnie to powtórzyła.

ROZDZIAŁ X.

Dla Sylwii rozpoczęła się serya długich, bezchmurnych dni. Na pierwsze zdawało jej się, że widzi życie, a było to bardzo zabawne.

Nigdy w najdzikszych snach, podczas spokojnych dni dzieciństwa, i krótkiego zamęścia nie prowadziła tak rozkosznego, zajmującego życia, jak teraz. A to było też po trochu do zawdzięczenia całemu trybowi dnia w Lacville.

W bardzo małej mierze stała się Sylwia ofiarą gry. Wyczekiwała zawsze z upragnieniem godziny, kiedy z Anną udawały się do kasyna. Ale Sylwia nigdy nie ryzykowała większych sum i dlatego też zawsze prawie wygrywała — straty miała nieliczne.

Trochę zmiany zaszło w stosunkach dwóch przyjaciółek. Spotykały się codziennie, choćby tylko w kasynie, poczem wyjeżdżały na przechadzkę, lub szły wspólnie na obiad — lecz Sylwia uczuła wyraźnie, że Anna teraz żyje tylko dla gry, a wszystko inne dla niej nie istnieje.

Co jednakże czyniło Sylwii pobyt w Lacville tak uroczy, była to bez wątpienia przyjaźń z hrabią de Vincim.

W każdej kobiecie jest rodzaj pasyi do romansu a Sylwia nie była zadowolona swoim pierwszym maryażem.

We willi du Lac byli prawie nierozłączalni, a hrabia umiał tak dobrze urządzić długie spacery w ogrodzie i godzinne rozmowy, że nikt nie mógł się domyślać jakiejś bliższej znajomości między nimi.

Pewnego pięknego wieczoru zaprosiła niespodziewanie pani Wachner Sylwię i Annę na kolacyę do „Namiotu konwalii".

Anna niechętnie przyjęła zaproszenie, ale widząc, że Sylwia miała ochotę, ustąpiła.

Tego wieczoru czuła się Sylwia dziwnie zmęczoną i nie miała szczęścia w grze — hrabia wyjechał co dopiero do Paryża.

Siostra jego, księżna d'Eglemont przyjechała ze wsi na kilka dni, a wielka radość i uciecha, którą okazywał na wieść o jej przybyciu, popsuła Sylwii cały humor. Uczuła jak mało znaczyła w jego życiu.

I tak po raz drugi znalazła się Sylwia w „Namiocie konwalii" i wśród przyjemnych okoliczności.

Tego wieczoru, jadalny pokój, mimo brzydoty, wyglądał odświętnie. Kwiaty były na stole i na bufecie i ku jej zdziwieniu linoleum pokrywało podłogę. Jedzenie było bardzo dobre — poza zimnemi mięsiwami dużo kosztownych owoców, cukrów i bakalij.

Pani Wachner przygotowywała wszystko — podczas gdy Anna z Sylwią siedziały bezustannie — pan Wachner mieszał sałatę i dolewał wiele więcej octu niż oliwy, skoro się Sylwia zwierzyła, że nie znosi oliwy w sałacie.

Po kolacyi była doskonała kawa, którą nawet Sylwia piła, mimo, że doktorzy jej nie radzili ze względu na zdrowie.

Jedna rzecz była jej nie radzili ze względu na zdrowie. zapominając o swoim zwykłym takcie, uczyniła formalny napad na hrabiego.

Mówiono o wszystkich gościach kasyna.

— Jednego tylko nie cierpię — wykrzyknęła — tego nadętego hrabiego ,jeżeli to w ogóle jest hrabia. To taki arogant i pyszny nie do zniesienia. Znamy go od wielu lat, bo spotykamy się zwykle w Monte Carlo. Ale ani razu nie spojrzy na nas, zupełnie jak gybyśmy byli powietrzem.

Gdy hrabia gra, ludzie dla niego nie istnieją — zauważyła Anna, spostrzegłszy Sylwii zaambarasowanie. — Obser-

wowałam go dokładnie przed dwoma laty w Monte Carlo i nie widziałam nigdy człowieka tak zaabserbowanego grą.

— To nie jest żadne uniewinnienie — wykrzyknęła pani Wachner — poza tem to tylko pół prawdy. Wstydzi się, że w podobny sposób spędza życie i nienawidzi ludzi, którzy wiedzą o tem. To bezwstydnie być zupełnie bez zajęcia! Młody, silny człowiek nic nie pracuje, żyje na łasce drugich! A pogardza wszystkimi, o których wie, że czynią podobnie, jak on.

A Sylwia patrząc na nią pomyślała, że to prawda. Pani Wachner osądziła Pawła bardzo trafnie.

Nareszcie usłyszano nadjeżdżający powóz.

— Fryc — idź zobacz, czy to powóz, który zamówiłam na dziewiątą — a kiedy posłuszny małżonek wyszedł na korytarz, pani Wachner pobiegła za nim a Sylwia usłyszała słowa „pracuję i pracuję, a ty nic nie robisz. Pomagaj mi, to tylko dla ciebie robię sobie ten cały ambaras“.

Cóż te dziwne słowa miały znaczyć? Nad czem pani Wachner tak pilnie pracowała?

— Zofio — odezwał się znowu pan Wachner — powóz czeka — straciliśmy tyle czasu.

Podobnie jak Anna pan Wachner uważał czas spędzony zdala od zielonego stolika za stracony.

Panie wzięły kapelusze ,a Anna zbliżyła się do okna.

Co za puste osamotnione miejsce — rzekła, otulając się szczelniej koronkowym szalem — a ten las w blizkości, obawiałabym się mieszkać tak blisko lasu. Myślałabym, że źli ludzie tam się ukrywają.

— Ale dlaczegoż mielibyśmy się obawiać, choćby i źli ludzie byli?

— Tak, ale czasami musicie państwo mieć sporo pieniędzy w domu.

Pani Wachner zaśmiała się.

— Jeśli mamy tyle pieniędzy, że nie możemy ich przy sobie mieć, co niestety nie zdarza się bardzo często, Fryc jedzie do Paryża i oddaje je do banku.

— Ja nie zadaję sobie tego trudu — rzekła Anna — wszystkie pieniądze mam zawsze przy sobie. A jak ty robisz Sylwio?

— Zostawiam je w kufrze w hotelu — służący we willi zdają się być zupełnie uczciwi, to prawie wszyscy krewni posiedziciela, pana Polperro.

— Ale to bardzo źle — rzekła pani Wachner — nie powinna pani nigdy pieniędzy zostawiać w hotelu, tylko mieć zawsze przy sobie, jak my. No a teraz chodźmy, wielki czas.

Opuściły dom i zbliżyły się do doróżki przed którą już Fryc mrucząc na żonę, się znajdował.

A miał racyę, bo kasyno było przepełnione. Sylwia nie miała ochoty grać. Nie zajmował ją klub, jeśli nie było Pawła i ucieszyła się, gy nareszcie mogła pójść do swej willi.

Anna towarzyszyła przyjaciółce aż do drzwi kasyna. Właśnie kiedy Sylwia wychodziła, hrabia wchodził, a ukłoniwszy się pospiesznie, podążył w kierunku sal klubowych.

Sylwii zrobiło się ciężko na sercu. Nawet po spędzeniu dnia z ukochaną siostrą nie mógł się oprzeć pasyi gry.

DOZDZIAŁ X.

Długo w noc nie mogła Sylwia usnąć; myślała ciągle o hrabiu de Vinci i o tej dziwnej przyjaźni, którą z nim zawarła.

Spotkanie u drzwi kasyna dotknęło ją boleśnie. Kiedy przechodził mimo, cień zawstydzenia przemknął się po jego licach.

Tak, pani Wachner dobrze go osądziła, wstydził się nietylko życia, które prowadził, ale wszystkich, którzy wiedzieli o tem.

I Sylwia pytała się w duszy czy lepiej by nie zrobiła, wyjeżdżając zaraz z Lacville. Cóż mogła jej przynieść przyjaźń takiego człowieka?

Nagle zapukano do drzwi. Była ósma godzina. Felicya przyniosła ranną herbatę i list, z nieznanym charakterem pisma.

Sylwia obracała szarą kopertę z powątpiewaniem, może to wcale nie było dla niej. Ale wyraźnie adres brzmiał: Pani Bacley, Villa du Lac, Lacville-les-Bains.

Otworzyła kopertę i znalazła uprzejme zaproszenie na śniadanie następnego dnia, podpis był: Marya-Anna d'Eglemont.

Ależ to była Pawła siostra. Jakże uprzejmie z jej strony, czyli właściwie z jego.

List musiał być pisany podczas bytności hrabiego w Paryżu, a jednakże kiedy spotkali się tego samego wieczoru, ukłonił się tak zimno jak obcy.

Kiedy Sylwia zeszła do jadalni, hrabia powrócił z rannej przejażdżki.

— Otrzymała pani list od mej siostry? — zapytał — gdy jej mówiłem o naszej przyjaźni, wyznała, że bardzo chętnie chciałaby panią poznać. Wiem napewno, że panie będziecie sympatyzować.

— Bardzo uprzejma pańska siostra, — zauważyła Sylwia chłodno.

— Dziś wieczorem jadę do Paryża, bo mam się tam kilka dni zatrzymać u mej siostry. Tak więc, gdyby pani jutro przyjechała, oczekiwałbym panią na dworcu.

Po śniadaniu wyszli do ogrodu.

— Wspomniałem mej siostrze, że pani jeździ konno, — rzekł hrabia — prosi panią, czyby nie pozwoliła sobie pożyczyć konia do konnej jazdy i również — wybacz mi pani, amazonkę. Jesteście panie tego samego wzrostu — prosi więc panią bardzo o honor przyjęcia pożyczenia na czas pobytu w Lacville.

— To bardzo, bardzo grzecznie.

Sylwia była zachwycona, nie wiedziała jak przyjąć tyle dobroci.

— Gdyby pani raczyła napisać kilka słów do mej siostry, zabrałbym list dziś wieczorem.

Dzień ten przyniósł wielką zmianę w przyjaźni Pawła do Sylwii.

Do tego czasu mówił mało o swej rodzinie, o czasie spędzonym poprzednio — tego dnia mówił tylko o najbardziej intenzywnych stosunkach pokrewieństwa i o wszystkim, co z najbliższą rodziną styczność miało.

Najpierw opowiadał o swej siostrze, którą kochał tak gorąco, i której tyle zawdzięczał.

Potem opisywał księcia, jej męża, wspaniałomyślnego, dumnego arystokratę — który ignorował stale republikę francuską, mówił ciągle o królach i oczekiwał, że nowi powstaną z rodziny Orle'anów.

Mówił także o swoim wuju kardynale, który mieszkał we Włoszech — i który, jak cała familia sądziła, miał zostać papieżem.

Mówił potem o trzech ciotkach, starych pannach, które chciały wstąpić do klasztoru, ale nie miały dosyć odwagi. Mieszkały razem w pałacu Burgundian — a co dnia kilka godzin spędzały na modlitwie na intencyą, aby Pawła opuścił szatan gry.

A gdy Paweł tak wszystko Sylwii opowiadał, dziwiła się jeszcze bardziej nad życiem, które prowadził.

Hrabia miał wyjechać do Paryża dopiero po obiedzie, ale bardzo długo namyślała się Sylwia jak i co napisać do księżnej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W płomieniach.

9) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

Nieznajoma uśmiechnęła się i zaraz potem wchodziły obie na dosyć strome schody w wieży. Młoda kobieta szła pierwsza, a szła tak prędko i lekko, że Nellie ledwie zdążyć za nią mogła.

— Nie spiesz się pani tak bardzo, — wołała bez tchu prawie, — musimy sił oszczędzać, bo jest trzysta dziesięć stopni!

I z uczuciem pewnej ulgi stanęła obok niej na pierwszej galeryi, zkąd wspaniały roztaczał się widok na Paryż, w promieniach słońca skąpany.

Obie kobiety znajdowały się teraz w ganku, łączącym obie wieże w wysokości dzwonów, i Nellie zaczęła natychmiast opowiadać o pomnikach i gmachach, które tu ztąd najlepiej można było widzieć. Ale nieznajoma nie wiele na to zwracała uwagi, myśli jej widocznie czemś innem były zajęte. Raz po raz spoglądała ukradkiem na Nellie, obejrzała się kilka razy i nagle spytała żywo:

— Gdzie jest więzienie?

Nellie zadrżała. Nieznajoma nie mogła przecież zgadnąć, że to jedyny był punkt w Paryżu, który pochłaniał wszystkie jej myśli. Ciemne, ponure więzienie, w którem przebywał jej ukochany!

— Tam, — rzekła drżącym głosem, — za kopułą gmachu Giełdy! Widzisz pani te nizkie wieże? To jest więzienie.

— Znajdują się tam jeszcze więźniowie? Ja myślę, że teraz trzymają ich w Sante.

— Tak, ale tam także, — odrzekła Nellie, blednąc.

Nieznajoma zbliżyła się teraz do niej i pochylając głowę, szepnęła:

— Ja wiem, kto pani jesteś i czemu o więzieniu tem myślisz!

Nellie cofnęła się przestraszona.

— Kto pani jesteś? — zawołała z szeroko otworzonemi oczami.

— Nie domyślasz się pani? Ja jestem tą, która wczoraj wieczorem przyjechałam po pana Kildale.

— Ach! — krzyknęła Nellie, — i pani śmiesz...

— Poczekaj, — przerwała nieznajoma, lecz Nellie nie pozwoliła jej dokończyć.

— Ja nie chcę z panią rozmawiać! Jak pani śmiesz przychodzić tu?

I szybko zwróciła się ku drzwiom ganka.

— Stój! — zawołała nieznajoma, — musisz słyszeć to, co ci powiem! Przyszłam tu, aby dopomódz człowiekowi, którego kochasz.

— Którego pani kocha, — oburzyła się Nellie — i którego zgubiłaś! Męczyłaś go ,zrujnowałaś, a gdy zdołał wydostać się z twoich szpon, gdy zaczął pracować, gdy poznał nowe, lepsze szczęście, wtedy zjawiłaś się pani znowu! Teraz on jest w więzieniu! Ach, ja nienawidzę panią! Nienawidzę z całego serca!

— Możesz mnie nienawidzieć, jak chcesz, ale słuchaj, co ci powiem!

— Nie! — zawołała Nellie z pałającemi gniewem oczami. — Słuchaj pani tego, co ja ci powiem! Żądam przedewszystkiem — zaraz, zaraz, — dodała i biegnąc ku drzwiom, krzyknęła na dół: „Walentyno!“

— Jestem, — odpowiedział głos z dołu.

— Dobrze! Zostań, aż wrócę.

— Bardzo chętnie.

— Walentyna jest moją przyjaciółką, — rzekła teraz Nellie, — która tu sprzedaje karty pocztowe. Jeżeli pani nie odpowiesz mi na moje pytania, to poślę Walentynę po kościelnego. Więc najpierw: kto pani jesteś?

— Pytaj o wszystko, tylko nie o to.

— Ale ja to właśnie muszę wiedzieć.

—Nigdy!

— Walentyno! — zawołała Nellie i zaraz też ukazała się na schodach ciemna główka szesnastoletniej dziewczyny. — Idź i powiedz panu Bannet, aby tu przyszedł natychmiast. Spiesz się!

Główka znikła a na schodach usłyszała wnet Nellie szorganie pantoflami.

— Co — co — chcesz mu powiedzieć? — wyjąkała nieznajoma.

— Powiem, że pani stoisz w związku z wczorajszą zbrodnią w hotelu Ansonia! Pan Bannet czyta gazety, wie zatem, o co chodzi.

— Chcesz mnie zgubić? Przecież ja mam najlepsze w świecie zamiary, pragnę ocalić Ryszarda, bo z mego powodu padło na niego to straszne podejrzenie! Ja wiem, że on jest niewinny! Jeżeli będzie potrzeba, to będę świadczyć za nim! Opowiem, jak i co się tam działo.....

— Gdzie?

W pokoju, w którym ten człowiek — — zastrzelonym został. Ach, Boże! — szepnęła i przycisnęła ręce do oczu.

— Pani byłaś tam? — spytała Nellie bez tchu nieomal.

Nieznajoma skinęła głową.

— Nie mam teraz dosyć czasu, — rzekła — aby opowiedzieć pani o tem. Ryszard wie o wszystkiem, bo opowiedziałam mu to w dorożce. Ale gdybym się zgłosiła jako świadek, byłabym zgubioną!

— A jeżeli pani tego nie uczynisz, to Ryszard zostanie skazanym.....

— Nie, nie! Nie mają żadnych przeciw niemu dowodów, muszą go uwolnić! Ale powinien mieć dobrego adwokata i dla tego przyniosłam pieniądze... Weź je pani...

Mówiąc to, podawała Nellie paczkę banknotów.

Lecz młoda dziewczyna odepchnęła ją.

— Nie potrzebujemy pieniędzy — rzekła. — Postaram się o to, że pani będziesz musiała stanąć jako świadek na sądzie!

— Chcesz mu sprawić tę przykrość? Chcesz uczynić właśnie to, czego on tak gorąco uniknąć pragnie! Wszakże wolał więzienie niż... A pani nie wiesz nawet, czy okaże się potrzeba wezwania mnie na świadka! On sam powiedziałby

wszystko, gdyby się tem mógł ratować! Nie mów pani, że kochasz go, inaczej umiałabyś uszanować jego wolę i to, co on uważa za rzecz honorową!

Nellie stała blada i drżąca i patrzała na nieznajomą z niedowierzaniem i wątpliwością.

Od schodów już blizko ganku, dochodziły głosy Walentyny i kościelnego.

— Możesz mnie pani wydać w recę policyi — zaczęła znów nieznajoma — ale pamiętaj, że przyszłam do ciebie tylko przez pamięć mej jedynej, prawdziwej miłości! Jest to wspomnienie, które on szanuje, a którego pani zrozumieć nie chcesz!

W tejże chwili ukazał się pan Bannet na galeryi, zły, że nie może sobie odpocząć.

— Co się stało? — rzekł opryskliwie. — Wiesz przecież, że nie mam czasu...

Nieznajoma stała na pozór spokojna, lecz twarz jej śmiertelną okryła się bladością. Następna chwila miała rozstrzygnąć całą jej przyszłość...

Nellie wahała się, lecz spojrzawszy na nieznajomą, i widząc na jej trwogę, rzekła do kościelnego.

— Madame pragnie usłyszeć dźwięk wielkiego dzwonu, chciałam wykonać jej życzenie, ale nie umiem odczepić łańcucha. Ofiaruje panu za to dwadzieścia franków, myślę więc, że nie gniewa się pan, że kazałam prosić!

— Dwadzieścia franków! — szepnął stary uradowany — bardzo dobrze zrobiłaś moje dziecko, że przysłałaś po mnie. Zaraz, zaraz, idę już...

A gdy odszedł, ujęła nieznajoma ręce Nellie i rzekła z uczuciem niezmiernej wdzięczności:

— Niech cię Bóg błogosławi! Stokrotnie!

Oczy Nellie napełniły się łzami. Zanim jednak zdołała odpowiedzieć rozległ się poważny, głęboki dźwięk ogromnego dzwonu. Była to chwila nad wyraz uroczysta.

Lecz zaraz potem wrócił pan Bannet i zaczął opowiadać o rozmaitych przymiotach i wadach wszystkich dzwonów paryskich i byłby opowiadał godzinami, gdyby go nieznajoma nie była pożegnała, dając mu trzydzieści nawet franków. Z tą wiadomością musiał naturalnie spieszyć do żony!

— I co teraz? — spytała Nellie wzruszona, gdy została sama z nieznajomą.

— Muszę go ocalić! Albo raczej — my obiedwie wspólnemi siłami, ocalimy go! Weź pani przedewszystkiem te pieniądze — przecież to dla niego, musisz je wziąść! Dobrze! Jest to na zapłacenie adwokata. Trzeba się natychmiast postarać o dobrego, dzielnego prawnika!

— Tak, ale gdzie go szukać?

Nieznajoma zmarszczyła czoło.

— Tak — rzekła — to trudna sprawa! Powinien nam poradzić jaki mężczyzna...

— Wiem już, wiem! — zawołała Nellie. — Pan Coquenil poradzi nam najlepiej!

— Coquenil? Detektyw? — szepnęła nieznajoma przerażona.

— Tak, tak, pan Andrzej Coquenil!

— Ależ on podjął się tej sprawy! Nie czytałaś pani dzisiejszej gazety?

— To nic nie szkodzi! On jest bardzo dobry i uprzejmy i on nam z pewnością pomoże!

— Może to zrządzenie Opatrzności — szepnęła piękna kobieta. — Więc idź pani do niego, ale natychmiast! Zapytaj go o najlepszego adwokata! Powiedz mu wszystko otwarcie i uczyń tak jak ci doradzi. A teraz jeszcze jedno — polecenie dla pana Kildale, bardzo ważne — otóż tu jest papier i ołówek — rzekła, wyjmując z torebki jedno i drugie — napisz pani, aby żadna nie zaszła omyłka...

I zaczęła dyktować:

„Dama, która wczoraj wieczorem przyjechała po pana Kildale doróżką, każe mu powiedzieć, że osoba, którą uważała wczoraj za winną, jest niewinną. Wie ona o tem zupełnie dokładnie, tak, że może wystąpić jako świadek, gdyby była konieczność. Ale ma nadzieję, że obejdzie się bez tego. Prosi pana Kildale o użycie tych pieniędzy na opłacenie adwokata.

— — — — — — — — — — — —

Późno już było, gdy Nellie mogła wyjść z domu, i właśnie biła piąta, gdy pełna ufności dzwoniła do mieszkania Coquenila. Melania otworzyła drzwi i spojrzała niechętnie na młodą i ładną dziewczynę. Nie lubiła meldować takich gości swemu panu.

— Pan Andrzej śpi — mruknęła. — Przepędził całą noc po za domem i teraz skończył dopiero pracować przed pół godziną!

— Żałuję bardzo — rzekła Nellie łagodnie — ale to sprawa bardzo ważna!

— Dobrze, dobrze, powiem mu! Kogo mam zameldować?

— Pan Coquenil nie zna mego nazwiska, proszę mu powiedzieć, że sprzedawaczka świec z Notredame chce się z nim widzieć.

Melania zostawiła Nellie w sieni i poszła do pokoju detektywa, lecz po chwili wróciła o wiele uprzejmiejsza, otworzyła drzwi do salonu i prosiła Nellie, aby zajęła miejsce.

— Pan Andrzej przyjdzie zaraz — dodała.

Nellie obejrzała się ciekawie po pokoju, popatrzała na fotografię Coquenila i Hektora, poczem ujrzawszy szklane pudło z gipsowemi modelami rąk, pochyliła się nad niem i zamyśliła się tak, że nie słyszała nawet, gdy detektyw wszedł i stanął przy niej.

— Cieszę się bardzo, że panią widzę — rzekł z uśmiechem.

— Ah — to pan! — zawołała zmieszana. — Przepraszam, że...

— Interesują panią moje modele rąk?

— Patrzałam na ten jeden tylko! Znam rękę, która wygląda zupełnie tak samo.

Coquenil uśmiechnął się znowu.

— To być nie może — rzekł.

— Owszem! Znam taką rękę! Widziałam ją — upierała się Nellie.

— Może w muzeum?

— Nie, u żywego człowieka!

Widziałaś pani rękę, której mały palec jest tak długi jak ten? — spytał zawsze jeszcze z powątpiewaniem.

— Tak, piąty palec jest tak długi jak czwarty, a koniec jego jest szeroki i płaski. Zawsze mi to podpadało, ile razy na rękę jego patrzałam.

W takim razie widziałaś pani coś nadzwyczajnego! Jest to najdziwaczniejsza ręka w moim zbiorze — ręka największego w świecie zbrodniarza. Żył on przed sto pięćdziesięciu laty!

— Ah! — zawołała Nellie przestraszona.

Lecz teraz zbudziła się ciekawość w detektywie.

— Powiedz mi pani, jak się nazywa mężczyzna, mający taką rękę?

— Czemu? Po tem, co słyszałam, wolę zamilczeć jego nazwisko.

— Jest to dobry, uczciwy człowiek?

— O tak!

— Lubisz go pani?

— Ja — naturalnie, lubię go — rzekła, lecz oczy jej przybrały wyraz takiego strachu, że Coquenil zmienił temat i zapytał uprzejmie:

(Ciąg dalszy nastąpi.)